PR R 1962

I 48410/73 19 4

tygodnik łódzki

odgłosy

Cena 1 zł

Fot. E. Kudaj

CZYTELNIKOM, PRENUMERATOROM, PRZYJACIOŁOM PISMA

Najlepsze Życzenia SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 1962

SKŁADA ZESPÓŁ REDAKCJI „ODGŁOSÓW"

Na zdjęciu obok popiersie poety JULIANA TUWIMA

Na str. 4 — artykuł

MARIANA PIECHALA „PIERWSZY W KRAJU POMNIK JULIANA TUWIMA"

„Chwalebne Zmartwychwstanie" w Teatrze Nowym —

czytaj recenzję na str. 4

Na zdjęciu: BOGDAN BAER W ROLI JEZUSA

Fot. G. Puciato

ROMAN KACZMAREK

ROZWAŻANIA O MAPIE KULTURALNEJ ŁODZI

Okres powojenny wzbogacił żywiołowe i barwne dzieje miasta. Pozostały po tych latach mniej lub więcej żywe wspomnienia. Zdarzenia u styku dwóch epok dziejowych powoli zacierają się. Już do nich z okiem i szkiełkiem mędrca zwraca się historyk. Nie tak to dawne czasy — kiedy w wyniku wojennych zjawisk i politycznych przemian Łódź spełniała funkcję nie ogłoszonej nigdzie stolicy państwa. Wśród zgromadzonych w murach miasta przedstawicieli wszelkich władz czynnikiem skutecznego fermentu byli twórcy i działacze kultury. Kogo tutaj nie było! Łatwiej byłoby wymienić nazwiska tych, którzy z Łodzią wówczas nie mieli żadnych kontaktów, niż tych zastępów artystów, twórców, burzycieli starych nawarstwień i konstruktorów nowych wartości. W mieście wrzało. Wszystkie gatunki i kierunki twórczości kulturalnej wypełniały nie przygotowane do tego ogromu przybytki muz. Sztuki wyszły ze śródmiejskich lokali, zapędziły się poza rogatki miasta, wtargnęły na tereny satelickiego okręgu, rozlały się na kraj. Zdumieni rodacy zerkali na miasto rewolucji jak na starożytne Ateny.

Łódzka bania kultury pękła. Najpierw szczelinami, a później wyrwami twórcy, a często i ich dzieła, wędrowali szerokimi drogami ku innym skupiskom miejskim, głównie na niedaleki północny-wschód. Zaczął się niemal biblijny exodus, którego fragmenty trwają do chwili obecnej. Jeszcze dziś obserwujemy odloty spóźnionych ptaków o orlich zapędach.

Kilkunastoletnia historia gwałtownego wzrostu i zmian w łódzkim środowisku kultury wskazuje na trwałe korzyści i dysproporcje w tym zakresie. Mimo wszystkich zarzutów, a czasem i oszczerstw, wytworzył się klimat, może jeszcze nie za gorący, to jednak dostatecznie łagodny dla prawidłowego i stałego rozwoju kulturalnego miasta. Twórcy z Łodzią związani, ci, którzy tu wyrośli, a także i ci, którzy do miasta serdecznie przylgnęli, znaleźli tutaj warsztat pracy twórczej i wdzięcznego odbiorcę ich dzieł.

Można stwierdzić, iż określniki sprzed półwiecza tego rodzaju jak „ziemia obiecana", „złe miasto", „miasto proletariuszy" uzyskały nową treść — „Łódź — miasto pracy", „miasto, którego nie znacie"!

W codziennej publicystyce wymienia się jednym zdaniem ilość teatrów i kin, domów kultury i świetlic, bibliotek i księgarń, muzeów i wystaw, szkół artystycznych i zrzeszeń twórców. Do tego zwykle dodajemy plany inwestycyjne najbliższej pięciolatki i perspektywę rozwoju do zakreślonej granicy. Czasem dochodzą współczynniki wzrostu nakładów finansowych. Niekiedy podaje się sztandarowe nazwiska. Oto obraz napawający słuszną dumą pilnego czytelnika lub słuchacza jednego z wielu zebrań.

Sytuacja w dziedzinie kultury naszego miasta jest bardziej skomplikowana niż uszeregowane fakty urzędowego lub półoficjalnego sprawozdania. O tym wiedzą władze polityczne i państwowe, znają to zagadnienie resortowi kierownicy, odczuwają tę sytuację działacze kultury, chyba więcej mogą na ten temat powiedzieć sami twórcy, a jeszcze więcej rzesze odbiorców, pozbawione często możliwości skutecznego za-

Dalszy ciąg na str. 8

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

CETERUM CENSEO...

Przyznaję, że mimo wewnętrznej potrzeby niełatwo przychodzi mi zabrać głos w dyskusji zainicjowanej przez „Odgłosy".

Odstręcza mnie od niej niefortunny jej początek, a skłania do wzięcia udziału fakt, że wypłynęła ona jednak na szerokie wody, wywołuje niewątpliwie pożyteczne zjawisko, jakim jest budzenie szerokiego zainteresowania społeczeństwa sprawami wychowania i szkoły.

Artykuł p. Ostrowskiej oparty był, o ile mi wiadomo, na jednostronnym, niepełnym rejestrze faktów i stąd zupełnie fałszywie ukazał rzekomą „krzywdę" dziewcząt a nauczycieli ustawił po stronie oskarżającej.

Zresztą te sprawy w dużej mierze wyjaśniła p. Zaorska w poprzednim numerze „Odgłosów" i na życzenie Redakcji wracać do nich nie będę. Warto jedynie zatrzymać się chyba nad problemem publicznego rozstrząsania błędów nauczycieli. Błędów urojonych, bądź nie sprawdzonych, czy nawet błędów faktycznych.

To jednak nie jest, proszę Szanownej Redakcji, to samo, co analiza błędów „radnych, adwokatów, lekarzy, kelnerów, posłów, taksówkarzy i ministrów" — bo jedną analizą interesuje się społeczeństwo ludzi dorosłych, którzy krzyżują z sobą szpady polemiki jak równy z równym. A w drugim wypadku — naszej 700-tysięcznej wiosce rozszyfrowanie, w kogo krytyka uderza, jest rzeczą niesłychanie łatwą, nawet (pardon, chciałem rzec: zwłaszcza) dla nich — dla maluczkich. Dla tych właśnie „pryszczatych". Ich nie tylko interesuje: a która to? a z kim to? a gdzie to? — ale również doznają złośliwej uciechy: ale im się, tym belfrom dostało!

Fajne pismo te „Odgłosy"!

Niestety, p. Lucjusz Włodkowski w ostatnim numerze tegoż tygodnika w artykule „Uczniowie piszą anonim" znów wywalił równie potężną co szkodliwą bzdurę. Cytuję: „Do szkoły przyszedł anonim". Uczniowie spisali wszystkie swoje **zastrzeżenia pod adresem nauczycieli, ich postaw życiowych, metody nauczania i wychowania.** Nie ustrzegli się oczywiście przejaskrawień i złośliwości. W szkole tej był **mądry** dyrektor. Przeczytał uważnie anonim i spełnił zawartą w nim prośbę: odczytał go głośno wszystkim nauczycielom... Potem powiedział: nie będziemy robić z tego problemu, pomyślimy jedynie nad tym, czy i ile nasi uczniowie mają racji: **Teraz** geograf do maksimum wykorzystuje pomoce naukowe, chemik robi doświadczenia, a nie tylko o nich mówi, inni nauczyciele **też spełniają postulaty młodzieży.**

Tak młodzież **pomogła** nauczycielom spojrzeć krytycznie na ich pracę! (podkreślenia — moje M. W.).

Czytelnicy darują ten przydługi cytat, ale on wybornie pokazuje, jak nie należy, jak nie wolno pisać w szkole.

Chciałoby się zawołać: — komu ty jedziesz, monsieur Włodkowski?

Można by tylko „Odgłosom" poradzić, by p. W. powierzyły stałą redakcję kolumny: porady praktyczne dla uczniów i uczennic".

— Postawił ci belfer dwóję? Wiadomo — zła metoda. — Kropnij anonimek! Choćby nieduży. Króciusieńki. Do dyrektora. — Nie poskutkuje? — To pisz wyżej! Do Kuratorium? — Nie pomaga? To do ministra, do KC. Aż poskutkuje! Belfer zmięknie, zmieni metodę. Pomóżcie mu spojrzeć krytycznie na swoją pracę! Pomóżcie!

Nie życzę p. Włodkowskiemu, by jego synek (o ile takowego posiada) jeżeli mu kiedyś tatulo poddenerwowany zajrzał tam, gdzie plecy tracą przyzwoite nazwisko — kropnął na kochanego rodzica złośliwy anonim do władz.

Panowie, źle się bawicie, to chyba nie tak!

Nauczyciele bywają, jak wszyscy ludzie lepsi i gorsi, bardziej i mniej utalentowani, z zamiłowania i z przypadku. Dyskusja i krytyka! Owszem, nawet ostra, ale z dużym poczuciem odpowiedzialności. Pamiętajmy, że nawet najlepszym pedagogom zdarzają się fatalne potknięcia. Zdarzyły się przecież i Makarence. Takie potknięcia czasami wyrządzają dziecku niepowetowaną krzywdę, a w duszy sumiennego nauczyciela pozostawiają jakże przykre uczucie żalu i winy, której czasami odrobić już nie można...

Jak łatwo takie potknięcia publicznie napiętnować, nauczyciela ośmieszyć, nierzadko — wykończyć.

Czy to oznacza, że nie ma złych nauczycieli, których należy karać?

Absolutnie nie! Tylko — sprawę trzeba wszechstronnie, dokładnie zbadać, sprawiedliwie osądzić nie przydając jej rozgłosu, a w żadnym wypadku nie dokonując powierzchownych, krzywdzących uogólnień!

Rzecz ciekawa, że bardzo często najpochopniej osądzają nauczyciela rodzice, którzy sami w stosunku do swoich dzieci mają wiele na sumieniu.

Niestety, czasami tacy ludzie nawet w prasie udzielają nam gromkich przymówek, epitetów i pouczeń...

Znałem przed wojną świetnego pedagoga, który jednemu ze swoich uczniów poradził, żeby wystąpił ze szkoły, obrał sobie jakiś zawód, bo był rzekomo niezbyt inteligentny, do szkoły średniej się nie nadawał, do matury nigdy nie dobrnie, ot, szkoda czasu i atlasu...

Istotnie chłopak obrywał dwóję za dwóją. Wreszcie wystąpił ze szkoły. Ale — zawziął się, wstąpił do innej... Ukończył ją, ukończył również uniwersytet.

Dziś — jest to profesor jednej z wyższych uczelni w naszym mieście, chluba polskiej nauki, a nawet nie tylko polskiej...

Przejdźmy na tory ogólniejszych rozważań. Jak jest z naszą szkołą? Dobrze czy źle?

Gdyby tak postawić pytanie, to w żadnym wypadku odpowiedzieć na nie jednym zdaniem nie można.

Sytuacja, w jakiej znajduje się współcześnie polska szkoła, jest wypadkową wielu, wielu czynników.

Jej historia już w Polsce Ludowej — owszem, ciekawa, godna obiektywnej monografii.

W pierwszych latach po wojnie obserwujemy żywiołową, imponującą **odbudowę** szkolnictwa. Odbudowę — a więc na ogół, według dawnego, przedwojennego, burżuazyjnego wzoru, z pewnym przykrawaniem i dosztukowywaniem nowych treści. Dosztukowywaniem — czysto mechanicznym a więc, rzec można, trochę tak ni przypiął ni wypiął.

Potem, gdzieś w roku 1949-50 przychodzi okres przebudowy szkoły trwający mniej więcej do roku 1955. Czasy dobrze pamiętne.

W tym okresie miały miejsce również i niepożądane zjawiska, pajdokracja, wypaczanie roli komitetów rodzicielskich, samorządu szkolnego itp.

Od roku '56 odradza się życie organizacyjne dzieci i młodzieży, dokonano rewizji programów. Po okresie pewnego zamętu ideologicznego niedawno ogłoszone akty ustawodawcze określają wyraźnie socjalistyczny kierunek pracy dydaktyczno-wychowawczej szkoły, przygotowujemy się do reformy.

Nastąpiła pewna poprawa w sytuacji materialnej nauczyciela. Podniesienie autorytetu nauczyciela i autorytetu szkoły, nasza partia postawiła jako sprawę szczególnego znaczenia.

Mimo to, czujemy to wszyscy, szkoła „nie nadąża".

Jakaś część przyczyn tego zjawiska tkwi niewątpliwie w fakcie niskich uposażeń nauczycielskich. Tym chyba głównie należy tłumaczyć fakt, że młodzież inteligentna, rzutka, w nikłym procencie marzy o zawodzie nauczycielskim.

Nauczyciel jest w naszym społeczeństwie szanowany, ale zawód nauczyciela nie jest atrakcyjny.

Jednak to tylko część przyczyn.

Jest ich wiele. Nie miejsce tu i nie czuję się zresztą wystarczająco kompetentny, by dokonywać jakiejś głębokiej i wyczerpującej analizy zjawiska. Rzecz warta dyskusji.

Pragnę jedynie stwierdzić, że w tym porywającym rozwoju techniki, nauki, kultury, w imponującym rozkwicie naszej gospodarki narodowej stanowiącej bazę ekonomiczną dla budowy socjalizmu w naszej ojczyźnie — nie potrafiliśmy dotąd nadać wyraźnego, konkretnego kształtu pojęciom Szkoła Socjalistyczna, Wychowanie Socjalistyczne.

Jest to sprawa bynajmniej nielatwa. Szukamy dróg.

Nasza teoria pedagogiczna też jeszcze szuka. Mówi się: „wychowanie politechniczne" a czujemy: „to jeszcze nie wszystko", mówi się: „związek szkoły z życiem" a myślimy: „ale jaki?"

Drażnią nas kiepskie programy nauczania i kiepskie podręczniki, martwi brak kadr. I w tej atmosferze — szukamy. Szukamy polskiego kształtu, polskiej socjalistycznej szkoły.

Z rozmów z towarzyszami radzieckimi, jakie ostatnio odbyliśmy, można było wnioskować, że i oni jeszcze szukają. A może owa zmienność form narodowej edukacji pozostanie cechą naszego ustroju, który zapewnia tak oszałamiające tempo rozwoju!

Sądzę, że pora najwyższa zdać sobie sprawę, że cechą chyba najcenniejszą człowieka żyjącego w ustroju socjalistycznym, jest jego zaangażowanie. Przeświadczenie, że to jego państwo, że od jego pracy zależy tempo rozwoju tego państwa, wzrost dobrobytu, rozwój kultury i nauki, że w takim państwie nie wolno być obojętnym wobec wszelakiego zła, nieróbstwa, podłości, bałaganiarstwa i złodziejstwa.

I tu oto krystalizuje się rola szkoły:

kształtować postawę **człowieka zaangażowanego.** Od dziecka. Ukazując wizję ludzkości wyzwolonej z wszelkiego ucisku, ciemnoty, ludzkości zbratanej, zjednoczonej we wspólnej komunistycznej idei, wskazując na wielkie rzeczy dokonujące się w naszej ojczyźnie już dziś i te, których dokonamy jutro, nie zamykając oczu na trudności i zło, które tempo naszego rozwoju hamuje — kształtujmy tę postawę człowieka zaangażowanego.

Wychowujmy ludzi uczciwych, prawych, zdyscyplinowanych i dzielnych.

Mówmy naszym dzieciom: jesteście w jakimś stopniu odpowiedzialne za atmosferę rodziny, stosunek do was ojca i matki, którzy was kochają i dla was żyją, zależy przecież również od tego, jakim i ty jesteś dla nich; mówmy naszym uczniom: klasa i szkoła to twoje, twoich kolegów i twoich nauczycieli wspólne dobro, zróbmy, wspólnie — nauczyciele i uczniowie, wszystko, co w naszej mocy, by w niej panowała atmosfera pogody, zaufania i wzajemnej życzliwości, materiał nauczania zakreślony programem musi być przyswojony — to sprawa honoru nauczyciela i ucznia.

Tę postawę człowieka współodpowiedzialnego będziemy w miarę dojrzewania młodzieży przenosić na dalsze dziedziny, ukazując jej miasto, czy region, w którym wzrasta.

Na drodze, wcale nielatwej, kształtowania w sercach młodzieży tej postawy w uporczywej walce ze złem i słabością własną stać będzie przy niej nauczyciel — przyjaciel, powiernik, człowiek, który ją rozumie, kocha i traktuje poważnie.

Daruj, Czytelniku Miły, jeśliś do tego miejsca dobrnął, ale teraz zreflektowałem się, że tak jakoś mimo woli wpadłem w jakiś patos, czy kaznodziejski może ton. Więc skończę czym prędzej stwierdzeniem, że pedagodzy łódzcy podejmują dużą i długą pracę nad nadaniem naszej szkole nowego oblicza.

W dziedzinie wychowawczej pragniemy jak najmocniej postawić na samorząd szkolny w szerokim, głębokim i nowoczesnym ujęciu tego zagadnienia, w dziedzinie dydaktycznej będziemy usiłowali przeanalizować metodę pracy na wszystkich szczeblach i we wszystkich przedmiotach pod kątem maksymalnej aktywności ucznia.

Jak tego robić nie należy a jak — można i trzeba, na ten temat też by warto podyskutować.

A przykładów „dobrej roboty" w naszych łódzkich szkołach już dziś znaleźć można sporo.

A za rok!?!

Jeżeli jeszcze „Odgłosy" i społeczeństwo łódzkie, czego sobie i wam życzę, pomogą. Ho, ho!

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

Z prof. dr. LUDWIKIEM NATANSONEM

kierownikiem Katedry Fizyki Doświadczalnej U. Ł. samodzielnym pracownikiem naukowym Instytutu Badań Jądrowych Zakładu Fizyki Jądra Atomowego w Świerku

O INSPIRATORSKIEJ ROLI FIZYKI

O WIELKIM „NIEMOWLĘCIU" FARADAY'A

O CZARODZIEJU PRZYRODY

O IZOTOPOWEJ PRZYSZŁOŚCI... PRZEMYSŁU TEKSTYLNEGO

— Dzisiejszą rozmową otwieramy noworoczny cykl tradycyjnej serii wywiadów „Odgłosów" z łódzkimi naukowcami. Wydaje się, że specjalizacja naukowa Pana Profesora odpowiada naszym inauguracyjnym założeniom?

— Pod jakim względem?

— Mam na myśli młodość, rewolucyjność tej nauki oraz horoskopy jakie w dobie wielkiej techniki otwierają się przed fizyką doświadczalną...

— Zaraz, zaraz... Z tą młodością to rzecz względna. Koncepcja jądrowego modelu atomu (opracowana przez angielskiego fizyka Ernesta Rutheforda) liczy sobie przecież już pół wieku.

— No, tak... Prawdziwy jednak rozwój fizyki jądrowej to jednak czasy ostatnie?...

— Owszem. Zwłaszcza okres, w którym zaczęły pojawiać się nowoczesne potężne urządzenia. Takie np. jak akcelatory, tj. urządzenia służące do nadawania energii jądrom atomowym.

— W jakim kierunku prowadzone są prace Katedry Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Łódzkiego?

— Pełnimy funkcje dydaktyczne polegające na kształceniu kadr fizyków m. in. dla szkół średnich i przemysłu. Jeśli zaś idzie o badanie naukowe... Prowadzimy je w trzech kierunkach. Pierwszy — to badania promieniowania kosmicznego, poważnie już zaawansowane, prowadzone przez doc. dr Zawadzkiego i jego współpracowników przy użyciu układów liczników. Drugi — dotyczy dziedziny badania wysokich energii metodą emulsji jądrowych. Trzeci zaś, to tzw. fizyka jądrowa niskich energii: mamy w budowie własny akcelator, który w roku 1962 spodziewamy się przekazać do eksploatacji.

— Jaki jest cel tych badań?

— Po prostu... poznanie.

— Czy stanie się ono źródłem nowych osiągnięć technicznych?

— To przyszłość pokaże. Warto jednak pamiętać, że na ogół wszystkie wielkie gałęzie techniki wyrosły z badań fizycznych i że, jak powiedział jeden z moich uczonych kolegów „Dzisiejsza fizyka to jutrzejsza technika". Faraday zaś kiedy go spytano o pożytek badań nad indukcją elektromagnetyczną zawołał: „A jaki jest pożytek z niemowlęcia?". Dziś wiemy już, że owo Faradayowskie „niemowlę", tj. indukcja elektromagnetyczna stała się podstawą całego wielkiego przemysłu elektromagnetycznego.

— Czy łódzka placówka naukowa fizyki doświadczalnej współpracuje z instytucjami naukowymi innych krajów?

— Jak najbardziej. Grupa naukowa doc. dr Zawadzkiego, zajmująca się promieniowaniem kosmicznym, jest w stałym kontakcie z dr. Maze z Ecole Normale Superiere w Paryżu. Druga grupa bada oddziaływanie wysokich energii metodą emulsji fotograficznych w ramach współpracy międzynarodowej.

— Czy można Panie Profesorze prosić o bardziej popularne objaśnienie tej metody?

— Są to klisze podobne do zwykłych fotograficznych. Słyszała Pani zapewne o balonach, przy pomocy których klisze te wysyłane są na duże wysokości? Balony z kliszami o zarejestrowanych na nich już zjawiskach opadają, a następnie przekazywane są do placówek naukowych. W Związku

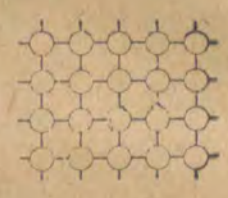

Radzieckim ten sam cel uzyskuje się przy pomocy samolotów Tu-104, które wznoszą klisze na znaczne wysokości i po zanotowaniu na nich automatycznie zjawisk promieniowania kosmicznego przywożą je na ziemię. Polska również korzysta z tych klisz m. in. Katedra Fizyki Doświadczalnej w Łodzi.

— W czym wyraża się zbieżność badań nad problematyką atomową takich nauk jak fizyka i chemia?

— Chemia zajmuje się tym co otacza atom, tj. elektronami, powierzchnią atomu. Fizyka jądrowa zaś bada samo jądro atomowe. Wkracza więc w dziedzinę daleko wyższych energii niż chemia. Bo jeżeli procesy chemiczne wyzwalają energię taką, jaka powstaje... no, np. ze spalania, to procesy jądrowe wyzwalają tak wielkie ilości energii, że trudno wprost

porównywać ją z energią otrzymaną drogą chemiczną.

— A więc fizyka jest potężnym a jednocześnie strasznym czarodziejem przyrody?

— Dlaczego „straszli wym"? Od człowieka tylko zależy, aby była dobrą wróżką ludzkości, aby energia jądrowa mogła służyć celom pokojowym. Weźmy chociażby wielkie osiągnięcia fizyki radzieckiej i wykorzystanie jej dla celów pokojowych. Mam na myśli radzieckie elektrownie atomowe, największe i najstarsze w świecie. Również brytyjski program budowy elektrowni jądrowych zasługuje na uwagę. A radioizotopy czyli promieniotwórcze odmiany zwykłych pierwiastków i ich zastosowanie do różnych celów technicznych? Są stosowane w przemyśle, przy śledzeniu reakcji chemicznych, w badaniach fizjologicznych a także i w lecznictwie. W Łodzi izotopy promieniotwórcze — wykorzystywane są dla badań fizjologicznych w Instytucie Medycyny Pracy.

— A w pracach Katedry?

— Zamierzamy w przyszłości, po uruchomieniu akcelatora, podjąć przy pomocy metod izotopowych prace usługowe dla przemysłu tekstylnego.

— O, to bardzo dla nas łodzian ciekawe...

— Tak, ale to dopiero sprawa przyszłości. Nie widzę bowiem możliwości rozwiązania jej wcześniej jak za kilka lat.

— Przyszłości? A więc wróciliśmy do problemu którym rozpoczęliśmy ten wywiad tj. do przyszłościowych możliwości fizyki...

— Bardzo to Pani trafnie ujęła. Bowiem fizyka jądrowa, a szczególnie fizyka cząstek elementarnych staje bezsprzecznie przed dalszym rozwojem, którego granic nie możemy przewidzieć.

Rozm. **K. WYRZYKOWSKA**

NA NOWY ROK

Zgodnie z obowiązującą tradycją nim rozpocznie się Nowy Rok podsumowujemy osiągnięcia, rozmyślamy o przyszłości. Redakcja „Mieszanki" zwróciła się w tej sprawie do łódzkich aktorów teatralnych, których znamy świetnie także z wielu ról filmowych. Prosiliśmy o odpowiedź na trzy pytania:

1) Jak układała się Pana (Pani) współpraca z filmem w roku 1961?

2) Jaką ze swoich ról filmowych ocenia Pan (Pani) najwyżej?, albo którą wspomina Pan (Pani) najmilej?

3) Czy Nowy Rok 1962 przyniesie Panu (Pani) jakieś nowe role filmowe.

Barbara Połomska

Barbara Połomska

1)) Niestety, od dwóch już lat nie grałam w żadnym filmie.

2) Najmilej wspominam film, którego nie było na polskich ekranach. Mam na myśli komedię muzyczną produkcji czesko-jugosłowiańskiej „Gwiazda jedzie na południe" reżysera Lipskiego. Grałam jedna z głównych ról. Z czeską wytwórnia zetknełam się wtedy po raz drugi — grałam przecież już w polsko-czeskiej komedii „Zadzwońcie do mojej żony". Była to rola, która zjednała mi wielu wielbicieli, no i dużą popularność, przede wszystkim w Czechosłowacji. Do tej pory dostaję jeszcze stamtąd listy.

3) Nic na ten temat nie wiem.

Mieczysław Voit

Barbara Horawianka i Mieczysław Voit

1) Jeśli idzie o ubiegły rok, to czekamy na przyszły.

2) Horawianka: chyba Wandę w „Zobaczymy się w niedzielę". Voit: Odpowiedzi udzielę natychmiast po mojej pięćdziesiątej roli. Brak mi już tylko 47.

3) Właśnie idziemy do wróżki.

Urszula Modrzyńska

Urszula Modrzyńska

1) W tym roku kręciłam tylko epizod „Dziś w nocy umrze miasto" reżysera Rybkowskiego. W ogóle ostatnio grywam tylko role reprezentantki polskiej kinematografii. Niedawno wróciłam z Czechosłowacji i Szwecji. Pokaz „Krzyżaków" i polską delegację publiczność przyjmowała ogromnie serdecznie.

2) Myślę, że najlepszą moja rola filmowa była Zula w „Nikodemie Dyźmie"

3) Moja przyszłość filmowa na razie pozostaje tajemnicą.

Zbigniew Józefowicz

1) Grałem główną rolę w filmie polsko-niemieckim „Taki jest świat Gabrielo" reżyserów Gusstmmana i Staara. Praca nad tym filmem trwała blisko dwa lata, kręciliśmy zresztą cały czas w Niemczech. Niedawno skończyły się zdjęcia do sensacyjnego filmu reżysera Chmielewskiego „Dwaj panowie N". Grałem w nim wywiadowce-detektywa. Obydwa filmy wejdą niebawem na ekrany.

2) Wspominam najmilej rolę lekarza — komendanta szpitala w „Godzinach nadziei" reżysera Rybkowskiego. Była to moja pierwsza rola filmowa, stąd może szczególny do niej sentyment.

3) Na temat ewentualnych ról filmowych mówić mi jest bardzo trudno. Postanowiłem zabrać się poważnie do pracy w teatrze.

Barbara Horawianka

Zbigniew Józefowicz

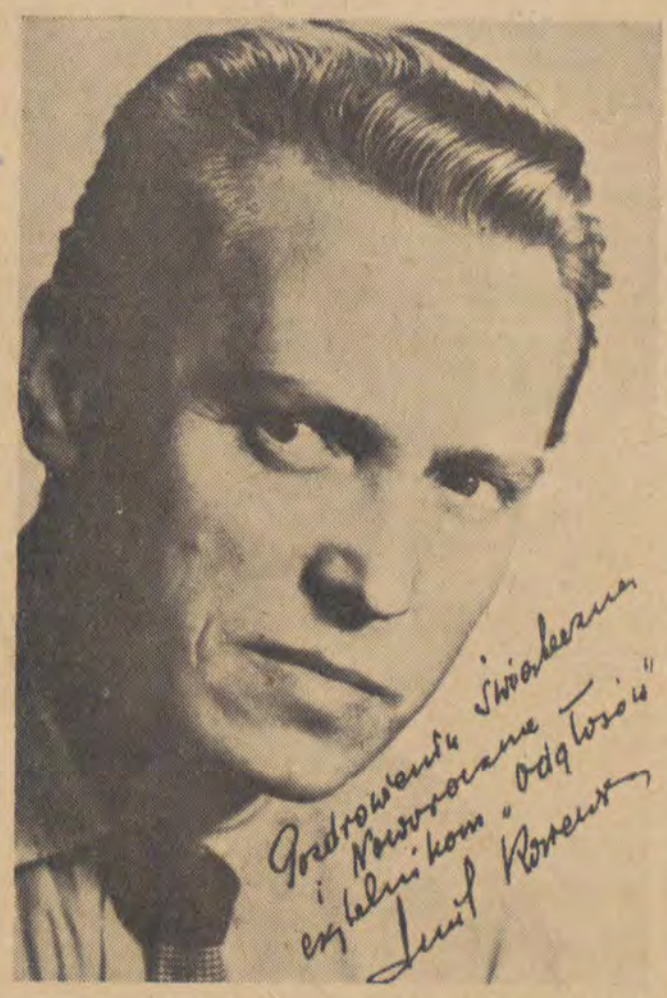

Emil Karewicz

Emil Karewicz

1) Rok 1961 to okres bardzo trudny, okres wypaczeń i kultu innych aktorów. Grałem jedynie epizod w filmie Różewicza „Świadectwo urodzenia".

2) Najmilej wspominam rolę jaką grałem w reprezentacyjnej delegacji filmu polskiego w Rumunii i z okazji Tygodnia Filmu Polskiego w Anglii. Rola ta dostarczyła mi wiele satysfakcji artystycznej i ambicjonalnej.

3) Zimą, na początku 1962 roku podobno mam grać w filmie „Na białym szlaku" wg Centkiewiczów.

Leon Niemczyk

1) W tym roku grałem w „Odwiedzinach prezydenta" reżysera Batorego, „Ogniomistrzu Kaleniu" reżyserii Petelskich i w filmie „Nóż w wodzie" reżysera Polańskiego. W ogóle na swoim koncie mam już 25 ról filmowych.

2) Nie oceniam moich ról, to raczej mnie oceniają. Najbardziej lubię role ostatnią, jestem z nią jeszcze dotąd związany mimo że „Nóż w wodzie" skończyliśmy już kręcić dość dawno. Grałem w nim dziennikarza, postać raczej niesympatyczna, choć psychologicznie złożona. Pracowaliśmy nad tym filmem 4 miesiące na Mazurach i choć zdobyłem stopień żeglarza i pozostaję nadal wielbicielem Mazur, wrócę tam chyba niepredko. Tegoroczne zimne lato dokuczyło całej ekipie filmowej.

3) Wprawdzie mam jakieś propozycje, nie mogę mówić jeszcze na temat ewentualnych moich ról. Jestem fatalistą, boję się zapeszać.

Leon Niemczyk

Ignacy Machowski

Ignacy Machowski

1) Grałem w filmie Drapelli „Przeciwko bogom", a także w dwóch filmach, których premier jeszcze nie było — w „Domu bez okien" Jędryki i w „Jutro premiera" Morgensterna. W tym ostatnim gram już niestety ojca, a moim filmowym synem jest Tadeusz Janczar.

2) Najmilej wspominam dwie moje filmowe role: Łysego w „Pociągu" i Biskupika w „Cieniu" reż. Kawalerowicza. „Cień" w Niemczech cieszący się dużym powodzeniem zjednał mi wielką popularność, którą stwierdziłem ze zdziwieniem w czasie mojego tegorocznego tam pobytu. Były to role dające możliwości jakiejś aktorskiej roboty. Która z moich ról jest najlepsza? Na to pytanie odpowiedzieć nie umiem. Pokazuję zawsze swoją pracę, swoje umiejętności i możliwości, nie wiem jaką miarę można do nich przykładać.

3) O ewentualnej pracy w filmie fabularnym nic nie wiem. Na początku stycznia zaczynam pracę w filmie kręconym dla telewizji. Będzie to „Łabędzi śpiew" wg Czechowa reżyserii J. Antczaka. Przyszły rok zapowiada się bardzo pracowicie. Normalna praca w teatrze i w telewizyjnym teatrze popularnym (będę grał w lutym Ojca Goriot) zajmie mi mnóstwo czasu i będzie wymagała ogromnego wysiłku.

ZBIGNIEW NIENACKI

„CHWALEBNE ZMARTWYCHWSTANIE"

Leon Schiller, wielki polski inscenizator, ma kilku epigonów, którzy dość powierzchownie przejęli jego pojmowanie sztuki i na ogół ograniczają się do zwykłego naśladownictwa wielkiego mistrza. Kazimierz Dejmek nie jest epigonem Schillera, a stał się jego kontynuatorem w najlepszym tego słowa znaczeniu; wydaje się on najbliższy Schillerowi w swoim spojrzeniu na teatr. Kazimierz Dejmek był schillerowski nie wtedy, gdy w jego teatrze oglądaliśmy rekonstrukcje inscenizacji Schillera (np. „Kram z piosenkami"),

ale jest schillerowski w swym uwielbieniu dla Wyspiańskiego, w próbach stworzenia teatru ludowego, plebejskiego. Przede wszystkim zaś Dejmek jest schillerowski w swej wielkiej miłości do staroświecczyzny, w dociekliwościach antykwariusza grzebiącego w starych zakurzonych tekstach, którym potrafi nadać nową, żywą barwę.

Tej wielkiej miłości do staroświecczyzny — a zaraził go nią Schiller — zawdzięcza Dejmek swój wielki tryumf jakim był „Żywot Józefa". Aż dziwne, że przy okazji tego spektaklu nie padło wówczas ze strony krytyki nazwisko Leona Schillera. Także w opublikowanych dotąd recenzjach z „Historii o Zmartwychwstaniu Pańskim" ani słowem nie wspomniano o Schillerze. A przecież to właśnie Leon Schiller z myślą o repertuarze dla teatru ludowego — teatru plebejskiego, teatru „ogromnego", teatru, który miał być w pewnym sensie realizacją owego mickiewiczowskiego słowiańskiego teatru przyszłości — Schiller przygotował „Gody weselne", „Szopkę staropolską", „Pastorałkę", „Rok staropolski", „Tańce śmierci", „Pieśń o ziemi naszej", „Bandurkę", „Kram z piosenkami" a także „Historię o Męce i chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim". To właśnie Schiller szukał najwłaściwszego kształtu scenicznego dla zabytków teatropisarstwa ludowego.

Kazimierz Dejmek nie jest epigonem Schillera ponieważ go nie naśladuje, lecz przejmując istotę schillerowskiego widzenia teatru, szuka nowego kształtu scenicznego i znajduje go. „Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu" w Teatrze Nowym jest na wskroś inscenizacją Dejmkowską. Lecz jednocześnie wydaje się ona rozwojem myśli Schillerowskiej. Dlatego Dejmek wydaje mi się kontynuatorem Leona Schillera *).

Będzie kiedyś sprawą teatrologów, którzy teraz tak się mnożą — zastanowić się, dla czego niektóre Dejmkowe próby kontynuowania myśli wielkiego mistrza, musiały w Łodzi skończyć się niepowodzeniem, jak choćby wystawienie „Akropolis". Być może Schiller mylił się w ocenie Wyspiańskiego i jego teatru? Może współczesny widz nie chce teatru „ogromnego", a właśnie małego, gdzie cicho i intymnie brzmią trudne prawdy o nas samych? A może po prostu Łódź to nie Kraków, gdzie były procesje i jest Lajkonik, gdzie wesela chłopskie ćwałowały z Bronowic do Mariackiego Kościoła środkiem Rynku, były wianki i barwne odpusty, a przede wszystkim, jak pisał Leon Schiller — był *„Wawel i szopka, Wawel wprowadzony na scenę w obydwu „Legendach", w „Wyzwoleniu", „Bolesławie Śmiałym", „Akropolis"; Wawel mający zastąpić Elsynor w inscenizacji Hamleta, Wawel pomyślany jako Akropolis Krakowski, z teatrem monumentalnym (niby Dionizosa) na południowym stoku wzgórza zbudowanym. A szopka krakowska, która zapożyczyła część swej architektury od katedry wawelskiej, szopka, której wpływ na fakturę sceniczną „Wesela", „Bolesława" i większości dramatów Wyspiańskiego ślepy by zobaczył"*.

Wyspiański i ten typ ludowości, jaki wielbił Schiller tkwiły w tradycjach Krakowa. Dla Łodzi szczególnie „Akropolis" musiało pozostać obcym i niezrozumiałym. W szarym, zabudowanym czerwonymi gmachami fabryk mieście robotniczym o zupełnie innym rytmie życia, o zupełnie innych tradycjach — teatr „ogromny", teatr plebejski powinien chyba mieć zupełnie odmienny charakter niż to się marzyło Schillerowi. Nie wiem czy Dejmek zawsze aż do końca zdawał sobie z tego sprawę. Zwyciężał, gdy czynił teatr polityczny, gdy nawet „Żywot Józefa" nasycał treściami aktualnymi, przegrywał zaś, gdy proponował teatr „ogromny", lecz nie współbrzmiący ze współczesnością. Dlatego tak bardzo bałem się idąc na spektakl „Historii o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim".

Przyznaję, że czytając tekst dokonanego przez Dejmka dramaturgicznego opracowania „Chwalebnego Zmartwychwstania" — zaśmiewałem się do łez. Na spektaklu śmiałem się rzadko, a były chwile, że ogarniała mnie nuda, a niekiedy uczucie zażenowania. Nie wiem czy trafna była decyzja inscenizatora wypowiadania didiaskalii konsekwentnie podczas całego przedstawienia. Nie zawsze są one dowcipne, a czasami zwalniają poważnie tempo akcji. Może sensowniej byłoby stosować je tylko tu i ówdzie jako swego rodzaju przerywniki? Choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że zastosowanie ich związane jest nierozerwalnie z całą koncepcją inscenizacji „Chwalebnego Zmartwychwstania".

Dejmek kazał nam podziwiać „Historie" Mikołaja z Wilkowiecka na tej samej zasadzie, na jakiej zachwycamy się starymi ludowymi świątkami. Podziwiamy ich naiwność i prymitywizm pełen uroku, podziwiamy piękno zawarte w tych z grubsza ciosanych figurach, odczytujemy z nich nie tylko naiwne i szczere wyobrażenie ludu o boskości, ale odnajdujemy w nich także wyobrażoną dolę człowieczą, dolę samego ludu. Właśnie w didiaskaliach, może nawet bardziej niż w tekście „Chwalebnego Zmartwychwstania", uzewnętrznia się ów uroczy prymityw dawnego teatru i naiwne widzenie świata. Użycie więc didiaskalii, powtarzam, było bardzo słuszne, nowatorskie i celowe.

A jednak są chwile — odczułem je bardzo osobiście — gdy przekroczona zostaje pewna niedostrzegalna granica i... zachwyt nad prymitywem przekształca się w drwinę z prymitywu, podziw nad prostotą, szczerością i naiwnością przekształca się w ironiczny śmiech: „patrzcie, jakie to nieporadne". Reakcja widowni (nie tej premierowej, lecz mniej wyrobionej) przekonała mnie o tym najdobitniej. Ostatecznie można wystawić nawet najbardziej głęboką tragedię, która natychmiast przekształci się w farsę, jeśli aktorzy wypowiadać poczną reżyserskie przypisy. A przecież Dejmkowi nie o ten ironiczny śmiech chodziło, lecz właśnie o uczucie wzruszenia, jaką przynosi prostota i szczerość widowiska ludowego.

Oczywiście, cel ten osiągnął Dejmek w bardzo wielu scenach. Dopomogła w tym scenografia Andrzeja Stopki. Ten, kto interesował się sztuka ludową, znajdzie odtworzone świątki w postaciach przede wszystkim Ewy i Adama i Jezusa. Tego ostatniego grał Bogdan Baer, przekonując mnie ostatecznie, że jest jednym z najwybitniejszych aktorów łódzkich. To jest właśnie wielkie mistrzostwo — wczoraj grać przewrotnego, wstrętnego, chichoczącego Tarielkina, a dziś przekazywać widowni łagodny, ciepły głos umęczonego Jezusa.

Do scenografii mam jednak pewne zastrzeżenie. Sądzę, że zbudowanie na scenie szopki było pójściem po najmniejszej linii oporu. Toż to misterium wielkanocne, a nie „Pastorałki". „Szopkowość" konwencji już i tak dostatecznie została podkreślona w kostiumach, w stylu gr aktorskiej. W dzieciństwi oglądałem podobne miste rium w wiejskiej parafialne świetlicy. Pamiętam, że z dekoracje służyła tam wiel ka palma — że niby wszyst ko działo się w Palestynie – ale bohaterowie tej histori grali w pasiakach wiejskic i wszyscy się na to zgadzal konwencja teatralna zrozu miała jest nawet u najbar dziej niewyrobionego widz

Moi uczeni koledzy po pi rze zaznaczali, że spektakl w Teatrze Nowym nie powinie drażnić uczuć ludzi wierzą cych. O tak, oczywiście. Jes to widowisko laickie. Insce nizatora mało obchodzą emo cjonalne uczucie związane tą czy ową postacią, nie drw i nie propaguje, po prost pokazuje nam dawny teat takim, jakim on był, a by

Barbara Horawianka (Baśka) i Bohdana Majda (Kaśka)
Fot. G. Puciato

Sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

PIERWSZY w KRAJU

pomnik Juliana Tuwima

Dnia 27 grudnia ubiegłego roku, w ósmą rocznicę śmierci Juliana Tuwima, stanął pierwszy w kraju jego pomnik. Gdzie? W Łodzi. Piękny to gest ze strony jego rodzinnego miasta, które w tym względzie nie pozwoliło się wyprzedzić innym, odpłacając poecie miłością za miłość. W uroczystości odsłonięcia pomnika w kształcie popiersia poety, dłuta znanych rzeźbiarzy łódzkich Elwiry i Jerzego Mazurczyków, a ustawionego na placyku tuż przed Młodzieżowym Domem Kultury imienia Juliana Tuwima, wzięli udział, prócz wielbicieli poety z pośród starszego i zwłaszcza młodszego pokolenia mieszkańców naszego miasta, przedstawiciele władz miejskich, środowisk twórczych, naukowych, zawodowych. Najliczniej, rzecz zrozumiała, reprezentowani byli literaci. Z Warszawy specjalnie na tę uroczystość przyjechała siostra poety, znana poetka i pamiętnikarka, Irena Tuwim.

Odsłaniając pomnik, w krótkim przemówieniu wstępnym przewodniczący Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi, Edward Kaźmierczak, nazwał Juliana Tuwima największym poetą polskim XX-go wieku. Podkreślił nadto z duma, że urodził się on i wychował w największym środowisku proletariatu polskiego, w Łodzi. To środowisko robotnicze było mu kolebką, która zdeterminowała charakter jego twórczości i wykołysała jego wielkość.

Niezwykle to trafne, uważam, określenie związku poety z jego miejscem urodzenia, dialektycznej zależności dzieła artystycznego od warunków otaczających jego twórcę. Poezja Juliana Tuwima dojrzewała i wzrastała w znaczenie razem z dojrzewaniem i wzrastaniem w znaczenie klasy robotniczej w Polsce. Aczkolwiek nie towarzyszyła każdemu momentowi walki tej klasy o własne wyzwolenie, to jednak była wiernym odblaskiem i bliższym lub dalszym echem każdego jej sukcesu lub klęski, a zwłaszcza pełną pochwałą ostatecznego tryumfu. Reprezentowała sobą tę część twórczego dorobku inteligencji polskiej, której najżywotniejsze na przyszłość elementy wyrastały z żyznego historycznie podglebia świata pracy. Prawom dziejowym naszego narodu, jego kierunkowym tendencjom, fundamentalnym zasadom patriotyzmu, widzianego zawsze w kategoriach wyzwolenia socjalnego warstw najbardziej upośledzonych i pokrzywdzonych w kraju, nie sprzeniewierzyła się nigdy. Stąd jej wielkość i trwałość mimo przemijalności niektórych jej form artystycznych. W poezji Juliana Tuwima ojczyzna jest zawsze środkiem świata, którego źródłem siły i świata jest serce najuboższego człowieka. Tak właśnie rozumiany humanizm tej poezji przesądza ostatecznie o tym, że jest ona najwybitniejszym zjawiskiem poezji polskiej naszego wieku.

Ktoś sceptyczny może tutaj wtrącić: czy aby to nie przesada? Nie! Nie przesada! Bynajmniej! Proszę się przyjrzeć tendencjom rozwojowym współczesnej sztuki, nauki, techniki? W najbardziej nowatorskich poczynaniach tych dziedzin akcent zdecydowanie przesuwa się z artyzmu na moralistykę, z estetyki na etykę! Tak jest! Nie wierzycie?

Proszę prześledzić twórczość Picassa, jej końcowe akcenty z „Guernicą", „Wojną i pokojem" oraz „Gołębkami", Albo Legara. Albo Paula Klee. Albo Mondoriana. Albo wreszcie Salvadora Dali. Przed kilku miesiącami w Belgradzie widziałem monumentalny (nie w rozmiarach lecz w wyrazie) obraz supernowoczesnego plamisty, Slobodona Garaszanina, pod tytułem „Ostatnie wcielenie boga Marsa". Obraz par excellence taszystowski, nie zawierający nic poza barwnymi plamami — a jednak ich układ, waloryzacja i ogólna tonacja nasuwa nieuchronnie myśl o kuli ziemskiej rozsadzonej wybuchem bomby nuklearnej.

A w muzyce — tej z istoty formalnie najbardziej nowatorskiej — czyż chodzi o zagadnienia tylko artystyczne? Taki na przykład utwór dodekafonisty Arnolda Schönberga, jak „The moderne Psalme", czy Artura Honnegera „Cris du monde" albo „Antygona", czy Paula Hindemitha „Hin und Zurück" — czy to są utwory tylko estetyczne, czy też przede wszystkim etyczne?

A w literaturze, tej najnowocześniejszej i najbardziej nowatorskiej, a więc w utworach Franza Kafki, Bruna Schulza, Witolda Gombrowicza, J. P. Sartre'a, Alberta Camusa, Becketta, Ionesco, Robbe-Grilleta, Dürrenmatta akcent spoczywa na estetyce czy na etyce? Weźmy, na przykład, taki utwór jak „Czekając na Godota" — czy to jest tylko artyzm czy raczej moralistyka? Co przeważa? Gdzie i na czym spoczywa akcent tej sztuki? A w poezji T. S. Eliota? W jego choćby „Ziemi jałowej"?

Odpowiedź wcale niedwuznaczna i zdecydowanie jasna. Tak sam niedwuznaczn nie i jasno jest stawian obecnie coraz częściej sprawa etycznego celu nauki, a nawet wynalazku technicznego. Już nie o samą sprawę bezwzględnego panowania nad przyrodą chodzi, ale o sens tego panowania i za jaką cenę. Tak więc coraz częściej we współczesnych działach nauk praktycznych technicznych czysta pragmatyka podważona jest przez pytanie w sensie etycznym.

Na tle takich właśnie tendencji rozwojowych współczesności aktualizacja poezji Tuwima będzie wzrastała wraz z humanizacją techniki i ogólnych zasad życia zbiorowego. Niezależnie od jej form artystycznych, które mogą zyskać walor archaicznego powabu, jej jądro humanistyczne pozostanie zawsze żywe i żywotne. Bowiem pulsujące jej źródło znajduje się wbrew pozorom nie w artyźmie słów, lecz (jak by powiedział Norwid w „artyźmie ziemi", którego w całej skali jego uroków Julian Tuwim był nie tylko lubownikiem, ale i najdoskonalszym w naszym wieku słowiańskim wykładnikiem czy wyrazicielem.

Ten pomnik ufundowany przez robotniczą Łódź, to symbol pełnego zwycięstwa poezji Juliana Tuwima.

tylko z pozoru religijnym. Dlatego owe krotochwile przeplatające się ze „świętymi“ scenami są prawdziwe i dobrze osadzone w tekście. Ludzie dawni modlili się gorąco, ale i żarli, pili, bawili się, śmiali zaraz po modlitwie. U Homera jest scena, gdy natychmiast po stracie ukochanego przyjaciela, opłakawszy go, wszyscy zasiadają do solidnej uczty obok stygnących zwłok. Jedno drugiemu nie przeszkadzało, choć nam może się to wydawać niedelikatne. W tej stylizacji Dejmkowej kryje się wielka prawda o świecie.

„Chwalebne Zmartwychwstanie“ było sztuką ciężką dla zespołu aktorskiego. Tekst jest niezwykle trudny do zapamiętania, a przecież niektórzy aktorzy odtwarzali po dwie, trzy, a nawet pięć postaci. Przedstawienie wydaje mi się aktorsko dość wyrównane, dlatego pozwolę sobie wymienić po kolei wszystkich wykonawców: Hanna Bedryńska, Barbara

Horawianka, Bohdana Majda, Zofia Petri, Barbara Rachwalska, Bogdan Baer, Ludwik Benoit, Seweryn Butrym, Zbigniew Józefowicz, Stanisław Łapiński, Konrad Łaszewski, Ignacy Machowski, Marian Nowicki i Józef Pilarski.

Słowa uznania należą się także Chórowi Chłopięcemu Towarzystwa Śpiewaczego „Echo“ pod kierownictwem Tadeusza Kałdowskiego. Jeśli chodzi o pieśni wielkanocne opracowane przez Witolda Krzemieńskiego według śpiewnika ks. M. M. Mioduszewskiego — wydaje mi się ono bardzo poprawne. Lepsza muzyka była jednak w „Żywocie Józefa“.

W sumie — spektakl okazał się bardzo interesujący. Ani w Łodzi, ani poza Łodzią nie widzę reżysera, który potrafiłby lepiej dokonać tej inscenizacji. Kazimierz Dejmek wydaje mi się wielkim następcą Schillera. Nie należę jednak do zwolenników tak pojętego teatru.

ZBIGNIEW NIENACKI

*) Warto, myślę, rozważyć o ile Kazimierz Dejmek jest konsekwentny w kontynuowaniu i rozwijaniu myśli Schillerowskiej.

TADEUSZ PAPIER

O POTRZEBIE LEGENDY

Przeglądam wspomnienia byłych członków PPR z okresu okupacji. Wspomnienia te są wstrząsające. Łatwo jest dzisiaj napisać: ależ to wielka rzecz! To prawdziwa powieść! A tę dramatyczną historię, pełną napięcia, ciekawych konfliktów warto przenieść żywcem na ekran. Na przykład historię Komitetu Dzielnicowego „Za Gettem“. Lub tragedię sekretarza tejże Dzielnicy Henryka Marciniaka, „Szarego“ nieludzko torturowanego przez gestapo. Lub dzieje Franka Prożka „naszego chłopca z młodzieży Marysina“, członka „Promienistych“. Czy wreszcie życiorys Józefa Rzetelskiego, komendanta G.L. z Bałut, potem więźnia z Mauthausen, wreszcie współorganizatora międzynarodowej brygady partyzanckiej „Liberta“ w Jugosławii. Ależ tych tematów godnych powieści i mistrzowskiego pióra jest tysiące. Każde nazwisko wymienione we wspomnieniach, odbija, jak przysłowiowa kropla wody, całą historię, dramat osobisty człowieka i dramat nieszczęśliwego kraju.

Można wiele na ten temat mówić i pisać. Frapująca na przykład historia: łódzka „Młoda gwardia“. Tow. Józef Rzetelski wyrabiał w domu zapalniki. Odbiorcą ich był Franek Prożek. „Ten młody, bo zaledwie szesnastoletni chłopiec zaimponował mi zawsze swoim wesołym usposobieniem“ — pisze J. Rzetelski... „Franek witał mnie zawsze słowami: „Co wesołego, tow. Dunaj? — a żegnał „Dobrych myśli tow. Dunaj“. Spotkania nasze były ograniczone do pięciu minut i odbywały się przy wejściu do obecnego parku z ul. Sędziowskiej. Często przekazywał mi pozdrowienia dla GL-owców, z którymi się stykałem, od walczącej młodzieży Marysina. Franka ostatni raz widziałem w celi gestapo, przy ul. Anstadta“. A oto epilog: „Innego dnia również w tej celi przy ul. Anstadta wprowadzono do mnie Franka Prożka, który zaraz po zamknięciu drzwi mimo okucia nóg i rąk uścisnął mnie i znowu usłyszałem podobnie jak dawniej: „Co nowego, tow. Dunaj?“ I nie czekając odpowiedzi... opowiedział mi jak złowiono go w Warszawie, a potem jak ośmiu żandarmów wiozło jego jednego do Łodzi na konfrontacje. Opowiedział mi również, że udowodniono mu — czyli że przyznał się do 40 trupów hitlerowskich, którzy padli w różnych okolicznościach z jego ręki... i jak w czasie konfrontacji z Niemcami ze sklepu Chabrowskiego przechodził wśród ich szpleru... a oni pluli na niego. Kończąc dodał: „Wieźli mnie do Łodzi samochodem, z taką dużą obstawą, ale z powrotem, jeśli tylko dostanę się do pociągu — to na pewno ucieknę“. Usłyszawszy klucz w zamku szeptem dodał: „Do zobaczenia niedługo tow. Dunaj!“ Oto przykuwająca uwagę, dramatyczna opowieść o jednym z Promienistych, którego imieniem został nazwany jeden z plutonów w Międzynarodowej Brygadzie „Liberta“ w Jugosławii.

Tow. Rzetelski, jak wielu innych został aresztowany. Jak wszyscy, poddany torturom. „Rzucono mnie na podłogę. Do łańcucha krępującego moje nogi, przywiązano linkę, za którą podciągnięto mnie na biurko... Linkę przeciągnięto pod biurkiem i przywiązano do mych rąk skutych kajdanami. W ten sposób ciało moje znajdowało się w położeniou łuku, z tym, że głowa zwisała na podłogę“. I rozpoczęła się seria uderzeń „bykowcem“ w stopy. Po pięćdziesięciu uderzeniach nastąpiły pytania. Wciąż ta sama odpowiedź: „Nie znam“, „Nie wiem“. I znowu nowe serie: „Tym razem trzy batogi na zmianę spadały w moje stopy z rąk trzech siepaczy“. Tortury fizyczne siepacze zaprawiali moralnymi. Stworzyli sytuację, z której rzekomo wynikało, że dalsze aresztowania następowały na skutek zeznań maltretowanego. „Przez otwarte drzwi w drugiej sali „oczekiwania“ na operację... spostrzegłem znajome mi twarze... Mimo, że wisiałem głową w dół, wyczułem ze spojrzeń towarzyrzy z drugiej sali nieme wymówki pod moim adresem“. Czyli innymi słowy: to były te krople goryczy, które przelewają „czarę cierpienia“. Trudno o bardziej wstrząsający obraz, jak ten, który narysował Rzetelski.

Bohaterowie, których przedstawiam, pochodzą z Bałut. Zadanie, które sobie postawili w pierwszych dniach maja 1942 r. (zorganizowanie na tym terenie PPR) określa Rzetelski jako „proste i nieskomplikowane“: „Jako wychowankowie Bałut podjąć akcję organizowania robotników znanych na terenie tej dzielnicy i w wielu fabrykach łódzkich na członków PPR oraz zapoznawanie ich z platformą ideową partii celem prowadzenia sabotaży w fabrykach, a gdy zajdzie potrzeba podjęcia walki z okupantem o wolność narodową i społeczną“. Jest dopiero rok 1942, do zakończenia wojny daleko, nikt zresztą nie wie, kiedy się skończy, Europa jest ściśnięta stalowymi kajdanami, czy znajdzie się siła, która rozerwie te kajdany? Wspomnienia byłych partyzantów, byłych członków PPR i „Promienistych“ trafnie i celnie pokazują ogólną zmianę klimatu politycznego w Polsce. Ukazują nowego bohatera, robotnika, w którego sercu tkwi jeszcze pamięć tej walki, którą prowadził przed wojną z fabrykantem. „Komórka, do której i ja należałem, postanowiła już na pierwszym posiedzeniu nawiązać łączność ze wszystkimi towarzyszami sprzed wojny, tj. z uczestnikami strajków w fabrykach, którzy utrzymali się na terenie Łodzi“. Jak my dzisiaj odbieramy te sprawy? Czy znamy nazwiska cichych bohaterów, szeregowców, kolporterów prasy, łączników, jaka jest pamięć o ludziach tej epoki, którą starsi wspominają jak koszmarny sen, a młodsi nie dają czasem wiary? Czy możliwe było podobne męstwo? Z czego ono się rodziło? Jakie są granice wytrzymałości człowieka na ból i cierpienia? I czy z drugiej strony człowiek zdolny jest aż do tak potwornych okrucieństw, jakich dopuścił się okupant? Ale mamy przecież relacje naocznych świadków.

Piszemy: w ciągu trzech lat okupacyjnych PPR w w Łodzi wydała i rozkolportowała 200 tysięcy egzemplarzy pism konspiracyjnych, które docierały wszędzie, do fabryk, do mieszkań prywatnych. Autorzy wspomnień wymieniają nazwiska przywódców, Logi-Sowińskiego, Moczara, a także nazwiska nieznanych szerzej towarzyszy szeregowych. Rysują się w tych wspomnieniach nazwiska epizodycznych postaci, które zgasły w lochach gestapo, nikt nie opowie o ich męstwie, nazwiska matek, które jak niegdyś Niłowna Gorkiego cierpiały i umierały za sprawę swych synów. Tow. Rzetelski nazywa swoją matkę „prawdą wszystkich lat swego życia“.

Jest chyba najwyższy czas, aby o tych sprawach pisać i mówić nie tylko od święta. Aby nareszcie pisarze, dziennikarze, publicyści zaczęli opiewać legendę, która zrodziła się z „prawdy wszystkich lat naszego życia“.

Korespondencje

DO
REDAKCJI CZASOPISMA
„ODGŁOSY“

W piśmie waszym ukazał się artykuł Marcelego Kaźmierskiego pt. „Młodzi inżynierowie“ zawierający nieprawdziwe dane o działalności naszego przedsiębiorstwa i to podane w złośliwej, uwłaczającej dobremu imieniu naszych pracowników formie.

Wyjaśniamy: przedsiębiorstwo nasze zwane obecnie Zakładami Konstrukcyjno - Doświadczalnymi Przemysłu Maszyn Elektrycznych a dawniej Centralnym Biurem Konstrukcyjnym Maszyn Elektr. pracuje na zasadzie dobrowolnych umów z zakładami produkcyjnymi, nad którymi nie ma żadnej władzy, nie może więc wysyłać i nie wysyła nikomu w całej Polsce swoich rozkazów jak twierdzicie w artykule. Nie było również i nie mogło być żadnego zerwania stosunków, przeciwnie współpracujemy dotąd z tymi wszystkimi zakładami naszego przemysłu, z którymi nas łączą wspólne zainteresowania i zadania.

A teraz jeśli chodzi o zarzuty merytoryczne.

Seria silników przewietrzanych od 100 do 1000 kW nazwana w artykule przedłużeniem serii radzieckiej była u nas skonstruowana, nie była w ogóle wycofywana z produkcji i jest dotąd produkowana przez Zakłady we Wrocławiu i w Żychlinie bez poważnych zmian konstrukcyjnych. Jedynie w zakresie silników mniejszej mocy produkowanych przez Zakłady żychlińskie, przeprowadzona została po wykonaniu już pierwszych maszyn rewizja, która polegała na powiększeniu mocy znamionowej maszyn wielk. 10 i 11 w sposób ustalony przez nas na podstawie pomiarów prototypów. Procedura taka jest normalną przy projektowaniu każdej serii maszyn elektrycznych i nie jest bynajmniej wynikiem omyłek.

O błędnym zaprojektowaniu, bo to chyba miał na myśli autor pod słowem „chała“, silnika o mocy 2,5 MW nic nam nie wiadomo. Opracowaliśmy tu, w okresie gdy Biuro Konstrukcyjne we Wrocławiu nie posiadało jeszcze dostatecznej ilości wyszkolonych pracowników, szereg silników wielkiej mocy, jak

silnik 1600 kW do napędu ścieraków papierniczych,

silniki synchroniczne o mocy 1960 kW i 2400 kW do napędu przetwornic do maszyn wyciągowych dla górnictwa węglowego,

silnik prądu stałego o mocy 1600 kW do napędu maszyn wyciągowych w kopalniach węgla.

Wszystkie te maszyny zostały wykonane i pracują w odpowiednich zakładach, co można łatwo sprawdzić.

Jesteśmy zoskoczeni tonem notatki, w której użyto takich wyrażeń jak „śpiąca królewna“, „chała“, „chody“, które same w sobie nic nie znaczą i stanowią tylko złośliwą insynuację. Dyskutowanie z tego typu zarzutami uważamy dla siebie za niemożliwe.

Poza tym musimy stwierdzić, że wśród naszego personelu jest szereg ludzi, którzy wykładają w szkołach wyższych, występują wielokrotnie jako rzeczoznawcy w przemyśle krajowym jak również biorą udział jako fachowcy w różnych komisjach współpracy międzynarodowej. Biuro nasze opracowało w ciągu kilkunastoletniej działalności cały szereg konstrukcji maszyn elektrycznych i transformatorów, które są produkowane czestokroć w wielu tysiącach egzemplarzy i przynoszą krajowi już lub przyniosą w bieżącej pięciolatce wielomilionowe korzyści, przy tym ich dobroć i przydatność oceniana jest nie przez nas samych lecz przez Radę Techniczną, w której skład wchodzą najwybitniejsi przedstawiciele naszej branży, spośród szkół wyższych, przemysłu, i władz nadzorczych.

Zarzut o popełnianiu studenckich błędów jest wobec tego chyba nieporozumieniem. Takim samym nieporozumieniem jest zresztą przeciwstawianie naszej pracy osiągnięciom „młodych“ gdyż średni wiek naszego personelu inżynierskiego wynosi 30 (trzydzieści) lat.

W tych warunkach treść Waszego artykułu jest nie tylko wysoce krzywdząca dla naszej instytucji, ale również podrywa dobre imię naszych pracowników, którzy w ciągu ofiarnej i owocnej a w wielu wypadkach wieloletniej pracy w naszym przemyśle zupełnie sobie na to nie zasłużyli.

Gotowi jesteśmy przypuszczać, że Wasz reporter padł ofiarą niesumiennych informatorów, dziwimy się jednak, że nie usiłowaliście nawet sprawdzić na miejscu tego rodzaju sensacyjnych w stosunku do poważnej bądź co bądź instytucji państwowej informacji lecz podaliście je w druku i to w złośliwej formie.

Oczekujemy wydrukowania przez Was w swoim piśmie niniejszego naszego sprostowania.

Dyrektor
mgr inż. BOLESIAW ADAMSKI

SZANOWNA REDAKCJO!

W odpowiedzi na list Zakładów Konstrukcyjno-Doświadczalnych Przemysłu Maszyn Elektrycznych, w którym Dyrekcja w/w zakładów z oburzeniem zareagowała na wysoce ich zdaniem, krzywdzącą, oraz podrywającą dobre imię jej pracowników opinię oraz zarzucila nieprawdziwość mego reportażu – wyjaśniam co następuje.

Moja wypowiedź powstała na tle informacji zaczerpniętych od personelu technicznego fabryk. Żałuję, że przed ostateczną redakcją tekstu nie mogłem zasięgnąć informacji w Zakładach Konstrukcyjno-Doświadczalnych Przemysłu Maszyn Elektrycznych. Jak sądzę, mogło to wytworzyć u mnie zbyt jednostronny obraz tych złożonych stosunków, jakie występują między wytwórcą dokumentacji technicznej, a przejmującymi na siebie pełne konsekwencje zakładami produkcyjnymi, które korzystają z tej dokumentacji.

Przyznaję, że ton reportażu był może zbyt ironizujący, a podane fakty może nieco przejaskrawione. Pragnę jednak zwrócić uwagę na to, iż argumenty użyte przez mego adwersarza nie trafiają w sedno i wydaje mi się, że nie zawsze są zgodne z aktualnym stanem rzeczy.

Co do zarzucanych mi błędów merytorycznych, to, o ile pamięć mnie nie myli, sprawy wyglądają nieco inaczej, niż to sugeruje Dyrekcja w/w Zakładów.

– Zmiany konstrukcyjne w serii silników przewietrzanych od 100 do 1000 kW zostały dokonane dopiero po kilku latach ciągłej produkcji (!) i to z inicjatywy zakładów produkujących. Seria uprzednio została wdrożona do produkcji i ujęta katalogiem nr M–...

Chyba procedura taka nie jest normalna. A fakt skonstruowania zbyt ciężkich maszyn i podjęcia ich produkcji można nazwać błędem. Przyznaję – niekoniecznie studenckim.

Silnik synchroniczny mocy 1,6/2,3 MVA (a nie jak błędnie wydrukowano w artykule – 2,5 MVA) nie spełnił, niestety, wszystkich przewidywanych wymagań. Nie dziwnego, że odbiorca zrezygnował z drugiego zamówionego egzemplarza.

Osobną kwestią jest fakt długiej, trwającej latami drogi wprowadzania wszelkiego rodzaju zmian i poprawek konstrukcyjnych. Może zło leży w tym, że sygnały zakładów produkcyjnych są traktowane w Katowicach jako próby podważania autorytetu.

W mojej intencji nie leżało dyskredytowanie działalności Zakładów Konstrukcyjno-Doświadczalnych Przemysłu Maszyn Elektrycznych. Panuje opinia, że Zakłady te konstruują dobre maszyny prądu stałego i małe silniki prądu zmiennego, a niestety nienajlepsze duże maszyny prądu zmiennego i transformatory.

P.S. Jeżeli chodzi o przeciętną wieku pracowników Zakładów Konstrukcyjno-Doświadczalnych Przemysłu Maszyn Elektrycznych, to panowie wybaczcie – znalem i trzydziestoletnich staruszków.

MARCELI KAŹMIERSKI

Komitet Wojewódzki ZMS Związek Młodzieży Wiejskiej i redakcja tygodnika „Odgłosy“

ogłaszają konkurs p.n.

O SOBIE SAMYM

Konkurs trwa rok. Od 1. I. 1962 do 31. XII. 1962 r. Najciekawsze wypowiedzi, (opatrzone nazwiskami i imionami — lub pseudonimem — nazwisko do wiadomości redakcji konkursu) zamieszczane będą w miarę ich nadsyłania w tyg. „Odgłosy“.

Prace drukowane i niedrukowane podlegają raz na kwartał ocenie sądu konkursowego. Najlepsze, niezależnie od honorarium za druk, otrzymują nagrody:

I nagroda 2000 zł
II nagroda 1000 zł

dwie III równorzędne nagrody rzeczowe (aparaty fotograficzne, książki, pióra wieczne, teczki) ogólnej wartości 1.500 zł.

Nagrody mogą być nie przyznane w danym kwartale z przyczyn formalnych (słaby poziom itp.). Jury zastrzega sobie również prawo do innego podziału nagród kwartalnych.

I ocena kwartalna nastąpi do 1.IV.1961 r.
II „ „ „ do 1.VII.1962 r.
III „ „ „ do 1.X.1962 r.
IV „ „ „ do 31.XII.1962 r.

Niezależnie od powyższego redakcja poczyni starania o wydanie książkowe najlepszych publikacji.

Wypowiedź (forma dowolna: reportaż, felieton, list, wspomnienie itp.) NIE POWINNA PRZEKRACZAĆ 12 STR. MASZYNOPISU Z INTERLINIĄ.

Redakcja „Odgłosy“ zastrzega sobie prawo wydrukowania w tygodniku „Odgłosy“ utworów nagrodzonych i innych utworów wytypowanych przez Sąd Konkursowy za oddzielnym honorarium autorskim.

Skład Sądu Konkursowego podamy w następnym komunikacie.

Szczegóły w n. 50 (198) „Odgłosów“ z dn. 17. XII. 1961.

ALE MRÓZ!

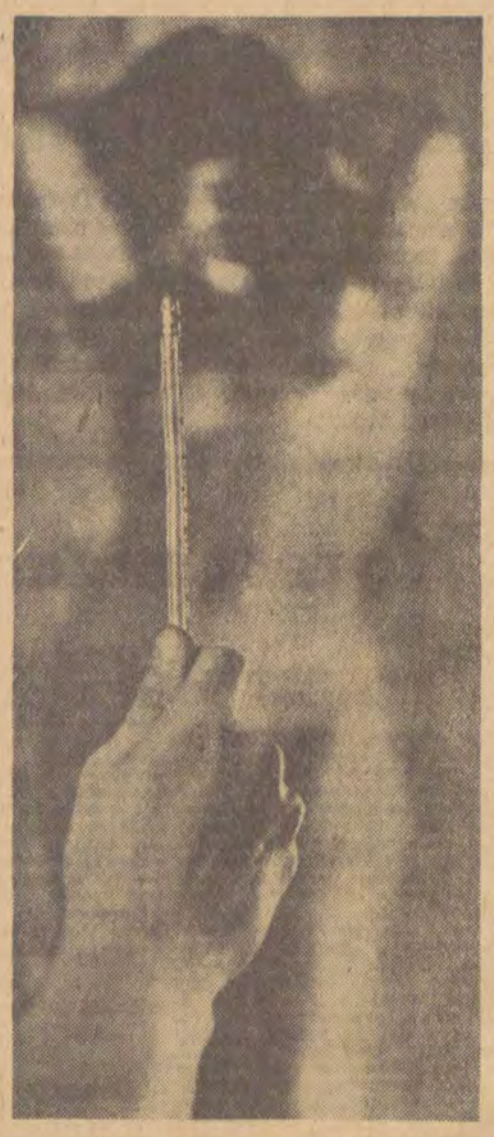

LECĄC w KOSMOS...

...być może polecimy w stanie zamrożenia. Uczeni już dzisiaj bardzo serio i starannie rozważają tę możliwość, która wydaje się być zresztą najzupełniej realna. No a twórcy powieści fantastyczno-naukowych wykorzystują tę kuszącą perspektywę na wszystkie możliwe sposoby.

Oto dwa — bardziej może „przyziemne" — przykłady zaczerpnięte z tomiku opowiadań pisarzy radzieckich „Biały stożek Alaidu". Obie historie kończą się happy-endem...

WALENTYNA ŻURAWLOWA

Poprzez czas

Aleksander Sadowski, lekarz — leprolog, sam zaraził się trądem. Wprawdzie jest na drodze do odnalezienia radykalnego preparatu AD, niemniej badania laboratoryjne nad nowym środkiem przebiegają wolniej niż postępy choroby. Chodzi o czas.

Sadowskiego odwiedza prof. Zorin:

Zorin żywo podniósł głowę:

— Stosuję dla zachowania działalności serca aparat „sztuczne serce-płuca". Krwiobieg omija serce. Fibrylacja nie następuje. Oziębiałem człowieka niemal do zera. I potem działalność serca powracała!

(...) Obecnie pańska choroba jest nieuleczalna — Zorin zająknął się, spojrzał pytająco na Sadowskiego i powtórzył: — Tak, nieuleczalna! Pan wie o tym lepiej niż ja. Ale jeżeli pan się zgodzi oszukamy trąd. Panu potrzeba — poprawił się — nauce potrzeba ośmiu lat? Doskonale! Dla pana te osiem lat będą jednym miesiącem.

(...) Włączam zimno!

Zorin przesunął dźwignię. Gdzieś za ścianą przytłumionym jękiem zawył kompresor. Pod szklany klosz popłynęło zimne powietrze. Wskazówka zegarowego termometru drgnęła i popłynęła w dół. Lekarze zbliżyli się do tablicy, stanęli za plecami Zorina.

(..) Wskazówka termometru spadał w dół. Trzydzieści dwa i dwa... Trzydzieści i cztery.... Dopiero przy cyfrze „26" wskazówka prawie zamarła, jakby natrafiła na jakąś przeszkodę. Zielone wężyki na rejestratorze prądów czynnościowych zatańczyły jak szalone.

— To zawsze jest tak — półgłosem odezwał się Zorin — Organizm się broni.

WŁODZIMIERZ SAWCZENKO

Przebudzenie prof. Berna

Prof. Bern, wielki uczony i takiż pesymista postanawia przetrwać ewentualną trzecią wojnę światową w stanie zamrożenia. Podczas ekspedycji geofizycznej do Azji Środkowej tak powiada do towarzyszącego mu inż. Niemayera:

— Słyszał pan o anabiozie, panie Niemayer? Jest to zahamowanie procesów życiowych za pomocą zimna lub też, w innych wypadkach, wysuszania. Przecież zimno i brak wilgoci bardzo obniżają szybkość wszystkich reakcji chemicznych i biologicznych. Uczeni już dawno stosowali sztuczną anabiozę w stosunku do ryb i nietoperzy: zimno nie zabija ich, tylko konserwuje. Umiarkowane ochłodzenie, rzecz jasna....

(...) Prawda, że słowo śmierć traci swe przerażające znaczenie, gdy doda się doń to medyczne słowo „kliniczna"? W rzeczywistości istnieje przecież wiele stanów przejściowych między życiem a śmiercią: sen, letarg, anabioza. W tych stanach organizm ludzki żyje w zwolnionym tempie w stosunku do normalnego.

(...) Niemayer zerwał się i powiedział z podnieceniem:

— Dobrze, podżegacze wojenni są szaleńcami. A pan? Pańska decyzja? Pan chce się zamrozić na przeciąg setek lat!

— No, po cóż tak zaraz upraszczać: „zamrozić" — spokojnie zaprotestował Bern. — Tu jest cały kompleks śmierci pozornej: ochłodzenie, uśpienie, antybiotyki...

Uwaga zamarznięci!

Pierwszą czynnością każdego redaktora, który siada do pisania artykułu wstępnego, jest spoglądanie przez okno. Jeśli bowiem natchnienie nie przychodzi z notesu, z kałamarza, nie siada też na ramieniu trzepocząca skrzydełkami muza, spoglądanie przez okno staje się dla autorów artykułów wstępnych źródłem wnikliwych obserwacji, które uogólnione, podlane sosem-patosem, wyczernione tłustym drukiem, dla jednych czytelników są drogowskazem na najbliższe 24 godziny, innych zaś swą czarną plamą alarmują, że to miejsce w gazecie należy omijać jak żyranta.

Czy to coś pomaga?! Czy następny autor artykułu wstępnego nie będzie wyglądał przez okno? Jest to — wyznam — maniera zawodowa. A więc wyglądam. Jak ja teraz w ogóle wyglądam?!

A na dworze, proszę państwa, mróz. Wierny słownik języka polskiego podpowiada mi, co ten bezczelny mróz wyrabia. A więc chwycił, ścisnął, złapał, bierze...

Dalibóg! Jak sam Casanova z pamiętników, które po 65 zł sprzedawały przez pół godziny nasze księgarnie.

Cóż ów rozpustny mróz robi dalej? Trzyma, wolnieje, zmniejsza się, zelżał...

Tylko proszę bez aluzji!

A jaki ten mróz był? Ho, ho! Wielki, silny, tęgi, trzaskający, porządny...

No, taki porządny to on nie był jak już coś tam trzaskało.

Potem bądź co bądź zaobserwowaliśmy też to, co nasz wieszcz Adam, jak to „Rosa jasne wieszając bisiory, nagle się mrozem w szron perlisty zetnie". Naprawdę wygląda to bardzo ładnie, szczególnie w mieszkaniach, które mają kaloryfery. Co robić w takich wypadkach? Sięgamy znów do literatury, po to by przez nią już śmiało sięgnąć do kobiet. Boć przecie drugi nasz wieszcz Juliusz wskazywał jasno na rusałki, które wprawdzie „mroziły mglistą dłonią", „ale za to zapalały czarnym okiem". Jedna taka rusałka, załatwić może nam całe kłopoty z c.o. Skąd jednak wziąć rusałkę — to jest problem, który mrozi nam krew w żyłach.

Czy żona się zgodzi? Nasze zacofane żony w ogóle nie wierzą w rusałki! Przytaczają tu naszego trzeciego wieszcza, który rzekomo o nich wyraził się, iż każda żona jest „piękna rumieńcem mroźnym".

Niech sobie będzie, tak jak jest ten mróz za oknem i na oknach i w mieszkaniach i w tramwajach, i w autobusach i jakże często w stosunkach między ludźmi... O tu znów przepraszam. W Nowym Roku wypada z całego serca życzyć, by ten ostatni gatunek mrozu zniknął na zawsze z międzyludzkich stosunków. Bo pozostałe wyrastają znacznie ponad nasze możliwości likwidowania — ponad siły ludzi wieku kosmicznego. Ogrzać np. autobus MPK! Ho! Ho!

Ślizgawka dla najmłodszych

Mamusie uszczelniają okna i skarżą się, że kaloryfery słabo grzeją, a najmłodszym w to graj! Byle tylko wyrwać się na ulicę, przypiąć łyżwy do nóg i poślizgać się, no bo jeżeli chodzi o możliwości narciarskie to te są w Łodzi — jak wiadomo — więcej niż skromniutkie.

Tylko że ślizganie się na ulicy, to też średnia przyjemność, stąd starania, aby korzystając z mrozów przygotować możliwie największą ilość improwizowanych lodowisk. Wedle obietnic ŁKKF powinniśmy mieć w tym roku około 100 lodowisk tego typu, a więc prawie dwa razy więcej niż w roku ubiegłym. Towarzystwo Przyjaciół Dzieci obiecało przygotować 60 lodowisk, resztę Terenowe Komitety Kultury Fizycznej i inspektoraty dzielnicowe. Niestety, mimo obietnic, oddawanie lodowisk do użytku idzie mocno niesporo.

A szkoda — bo i sport to zdrowie, i przydałaby się nam niejedna May Britt, jako że w łyżwiarstwie figurowym wyglądamy nieświetnie...

Nie taki straszny mróz...

Pewnie, nie taki straszny, kiedy się ma etatowe ciepłe futro na grzbiecie, ale kiedy śnieg zasypie dobra doczesne w postaci trawy, żołędzi i upraw zbożowych? Ha, wtedy jelenie, daniele, sarny, zające, kuropatwy, bażanty i dziki przechodzą na kuchnię człowieka. To znaczy, nie tylko stanowią smakowite produkty kuchenne w postaci dziczyzny, ale po prostu człowiek dokarmia zwierzynę w paśnikach leśnych. Jakie menu? Siano, owies w snopkach, marchew, buraki, poślad, koniczyna, saradela. Byłoby więc nieźle i jakoś lata by się doczekało, gdyby nie przemyślni kłusownicy, którzy czatują po lasach okręgu łódzkiego, zastawiając na zwierzynę sidła i wnyki. Są również kłusowniccy grubszego gatunku. Dwóch takich schwytano ostatnio na gorącym uczynku polowania w lasach spalskich. Wybrali się na sarny i jelenie. A trzeba wiedzieć, że na tę zwierzynę poluje się z planem w ręku (oprócz oczywiście dubeltówki, czy sztucera). No i nie każdy dostępuje tego zaszczytu.

A ile zwierzyny upolowano — zapytacie — np. w roku ubiegłym. Dysponujemy danymi do dnia 1 października 1961. Trzy ostatnie miesiące intensywnych polowań wymykają się jeszcze statystyce, ale i przytoczone poniżej liczby dają pojęcie o tym jak smakowitą spiżarnią dla nas i dla zagranicy jest las.

Tak więc upolowaliśmy:

Jelenie — 104. Daniele — 8. Sarny — 648. Dziki — 583. Zające — 3.635. Bażanty (również żywe przeznaczone na rozmnażanie w innych okolicach) — 1.512. Głuszce — 6.

Lisów ustrzelono 585.

Skoro jesteśmy już przy sprawach zwierzęco-leśnych przypomnijmy z zadrością, że niektóre zwierzęta zasypiają sobie na okres najtęższych mrozów. Są to susły, jeże, niedźwiedzie, borsuki, nietoperze. Oddychanie i działalność serca są w czasie snu zimowego osłabione. Piszemy „z zazdrością" bo gdyby to było możliwe sami również chętnie zasnęlibyśmy na zimę, mając na uwadze działanie łódzkiego centralnego ogrzewania. Budzimy się cieplutką wiosenką i hajda na letni urlopik! Ale cóż, człowiek tak rzadko ma okazję być zwierzęciem...

ZIMA, ZIMNO, MRÓZ

ZIMA?

Co to jest zima? Jest to pora roku zaczynająca się, gdy słońce osiągnie największą deklinację południową i kończy z chwilą powrotu słońca do równika. Według kalendarza gregoriańskiego zaczyna się zima na półkuli północnej 22 grudnia i kończy 21 marca. Na półkuli południowej zima zaczyna się 22 lipca, a kończy 23 września. Z punktu widzenia klimatologii do miesięcy zimowych na półkuli północnej zaliczane są grudzień, styczeń i luty, na półkuli południowej czerwiec, lipiec i sierpień. Jak wiemy w ostatnich latach coś się w tym wszystkim pomieszało i miesiące z nazwy letnie, na półkuli północnej do żywego przypominają zimę...

WILKI BUSZUJĄ

Nie było jeszcze meldunków z terenu województwa łódzkiego, ale na Lubelszczyźnie już poczęły grasować pierwsze stadka wilków, które mróz wygnał z leśnych haszczy w poszukiwaniu żeru. Podchodza one pod wsie i niepokoją ludzi.

Swoją drogą warto przypomnieć dyskusję na temat czy wilki napadają na ludzi w celach niedwuznacznie konsumpcyjnych, czy też nigdy nie leżało to w ich zwyczaju, a tylko literatura piękna zrobiła z nich krwiożercze bestie. Dyskusja ta toczyła się swego czasu na łamach prasy warszawskiej, była jednak o tyle akademicka, że żaden z dyskutantów nie udał się na osobiste spotkanie z głodnym stadem wilków, by w ten sposób pognębić ostatecznie dyskusyjnego przeciwnika.

BEZWZGLĘDNY MRÓZ

Zero bezwzględne (tzn. minus 273,15° C) jest **najniższą możliwą** temperaturą we wszechświecie. **W Zjednoczonym Instytucie Badań Jądrowych** w Dubnej (ZSRR) skonstruowano aparat, w którym można uzyskać temperaturę tylko **o parę tysięcznych** stopnia wyższą od zera bezwzględnego i utrzymać ją przez dłuższy czas. W takim „mrozie" materia prawie zupełnie zmienia swoje normalne właściwości.

(„Polityka")

CZŁOWIEK MOŻE ŻYĆ 1400 LAT?

Zdaniem naukowców amerykańskich człowiek mógłby żyć aż 1400 lat, gdyby udało się spowodować u niego coroczne zapadanie w sen zimowy.

Imponującą liczbę osiągnięto na zasadzie następującej analogii: skoro zapadający w regularny sen zimowy nietoperz żyje mniej więcej 20 razy dłużej niż ssak posiadający tę samą wagę, a przez cały czas pozostający w ruchu, to przyjmując przeciętny czas życia człowieka (w normalnych warunkach) na 70 lat, otrzymamy...

JANUSZ ROSZKO

CZARODZIEJSKA

W przedświątecznym rozgardiaszu, kiedy choinki pachną spod wieży ratuszowej, włosy anielskie sprzedają pod Sukiennicami, palą zimne ognie pod pomnikiem Mickiewicza, a gołębie jak zwykle robią swoje na głowie wieszcza — odbył się doroczny konkurs szopek krakowskich. Wysrebrzone to wszystko, wyzłocone — bajecznie kolorowe cacka mistrzów krakowskich ustawiono przed oczyma jury i publiki na Rynku w dniu 14 grudnia. Było w tym coś 24 mariackie wieże, kilkanaście Bram Floriańskich, parę Rondli i wież wawelskich. W żadnej dziedzinie architektury nie odczuwa się tak silnego wpływu tradycji i regionu, jak w szopkarstwie. Na szczęście. Były już, co prawda, próby przeniesienia tych doświadczeń w dziedzinę budownictwa monumentalnego — z których pyszni się w Krakowie budynek Miastoprojektu a la Sukiennice, aby przez skromność nie wymieniać osiągnięć stolicy. Ale wracajmy do naszej szopki.

W ogóle szopek w Krakowie nie brak. Co krok to szopka. Klerykalna, świecka, laicka i stoicka, epikurejska lub złodziejska, dantejska lub zgoła krakowska. Czytaj „goła krakowska". Już Boy-Żeleński powiadał, że krakowianin jest goły, ale za to inteligentny. Dlatego tak zawsze się znęca nad swoimi rajcami miejskimi. I nad kim się da.

Konkurs szopek to świetny pomysł. Powinno się nagradzać największą szopkę roku. Wybór trudny. Ale najlepiej ta, której scenariusz rozgrywa się aktualnie. Zresztą konkurs szopek odbywa się w tejże właśnie scenerii. Chodzi mianowicie o wielkie przedsięwzięcie władz krakowskich pod tytułem uporządkowanie krakowskiego Rynku. Wszystkim bowiem się już dawno znudziły kocie łby, na których kociaki łamią szpilki, a babki wykręcają nogi, znudziły się szyny tramwajowe po wycofanych przed kilkunastu laty tramwajach, secesyjne latarnie i wiele innych rzeczy. Najważniejszym jednak powodem jest fakt, że za dwa lata na jubileuszu 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego zjedzie ileś tam setek światowych luminarzy nauki. A więc to raczej dla nich ta cała heca, żeby Krakowa nie obmówili. Chociaż nie wyobrażam sobie, aby szkoła obmowy stała gdzie kolwiek na wyższym poziomie, niż w naszym wawelskim grodzie. Widocznie władze przypuszczają, że luminarze podciągną się w tej dziedzinie po przybyciu na miejsce. Nie daj Boże, i bez tego rozniesliby Kraków na językach, tyle tu można znaleźć mankamentów. Zresztą naukowcy już raz mieli do szlachetnej Alma Mater ogromne pretensje. Delegacja włoskich uczonych przybyła do Krakowa, aby uzyskać jajo wawelskiego smoka, bo chcieli sobie w Bolonii małego smoczka wyhodować. Nie uwierzyli, że smok już dawno nie żyje i obrażeni wyjechali do domu. Żeby się znowu historia nie powtórzyła.

Ale na razie porządkujemy Rynek. To duża rzecz. Ostatecznie to największy plac średniowiecznej Europy, jest się czym pochwalić. Tylko trzeba ten plac uporządkować. Jak? W tej sprawie Prezydium Krakowskiej Rady Narodowej zwróciło się poprzez prasę do mas z wieloma zapytaniami, czyli ogłoszono ankietę. Lud wielkim głosem zawoła co i jak trzeba, władza zaakceptuje bo władza jest jak mityczny Anteusz — oderwana od ziemi, czyli od mas, traci siły a potem, gdy lud ujrzy to, co chciał mieć na rynku będzie sobie masowo wydzierał włosy z głowy i szaty pruł na kształt zbiorowego, ustokrotnionego Rejtana.

Kiedy więc ogłoszono ankietę, poczułem się jak w „Powrocie taty", ale a rebours. Mianowicie najpierw porwała mnie litość i trwoga, a potem dopiero śmiech pusty. Fachowcy bowiem od kilku lat z górą kłócą się o to, jak urządzić Rynek, rzucają nawzajem kamyczki do swoich ogródków — i gdyby używali do tego kamieni z Rynku nie zostałby już ani jeden kocí łebek — a teraz ankieta wśród mas ma rozwiązać problem w ciągu 1 miesiąca, po czym po Nowym Roku władze wydają odnośne decyzje. No i rzecz prosta, cały Kraków staje w szranki ankiety ,bierze się za łby i zaczyna tarmosić. Mają być auta na Rynku czy nie, mają być gazony, granity, czy stalaktyty, lubo fontanny. Dalibóg, azaliż, albowiem. Odpowiedzi są jeszcze straszliwsze niż pytania.

Pani Apolonia Krzak proponuje, aby zlikwidować w Rynku zarówno ruch kołowy jak i pieszy, ubrać dozorców w średniowieczne stroje, oraz założyć grządki kwiatowe, z których bezpośrednio przekupki będą zrywać i sprzedawać kwiaty. Równocześnie proponuje, aby nazwiskiem projektodawcy ankiety nazwać jedną z mniejszych ulic Krakowa. Może być ulica Kupa lub Wygoda, bowiem nazwy te rażą oko i ucho — jak twierdzi autorka, nie wspominając o powonieniu. Jej sprawa. Nie wiem czy Rada Miejska się do wszystkich projektów pani Apolonii przychyli. Ani też jak ustosunkuje się do projektów naszych satyryków, którzy również odpowiedzieli na ankietę. Jeden z rysowników przedstawił wizję krakowskiego Rynku przyszłości jako orgię neonów, spoza których wstydliwie wygląda wieża mariacka i kawałek attyki Sukiennic. Też projekt. Ktoś proponował, aby koniecznie były na Rynku dorożki, te zaczarowane, z Gałczyńskiego. Ale na etatach Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. Ale to już zupełna utopia — w tym przedsiębiorstwie ledwie, ledwie chodzą tramwaje.

Fakt faktem, że Rynek w Krakowie stanowi do dziś aktualnie działające centrum miasta. To centrum z wąziutkimi uliczkami dławi się ruchem. Ale samo uporządkowanie Rynku niewiele tutaj uratuje, dopóki nie stworzy się nowego centrum, a o tym na razie nie ma mowy. To znaczy mowa jest, bo mówi się o zlikwidowaniu zieleńców na Plantach Dietla i stworzeniu szerokiej arterii śródmiejskiej, przy której secesyjne rudery mają być czarodziejskim sposobem zamienione w nowoczesne bloki corbusierowskie i wrightowskie, z orgią kolorowych świateł, przeszklonych wystaw i diabli wiedzą czego. Ale nie ma pieniędzy na wykonanie tego przedsięwzięcia. Wracajmy więc do porządkowania naszego podwórka, czyli Rynku.

Ideą tej całej szopki jest urządzenie salonu recepcyjnego miasta. Jedni proponują, żeby salon polegał na urządzeniu parkingu giganta dla etranżerskich samochodów, inni żeby w ogóle zamknąć plac dla ruchu kołowego, wybrukować jednolicie, bez ustawiania chodników — na przykład w szachownicę i latem urządzać wielkie turnieje żywych szachów z udziałem arcymistrzów. Popularność Krakowa na rynku turystyki światowej wydawałaby się wówczas gwarantowana. Jeszcze inni chcą bruku jednolitego w kolorze, inni znowu asfaltu. Nawet uczeni urbaniści wysuwają projekty, które wstrząsają miastem w posadach. Mianowicie pewien profesor proponuje urządzenie „drogi świetlnej" wzdłuż tzw. drogi królewskiej. Od Barbakanu po Wawel mają się kolejno zapalać reflektory, wyrywające z mroku poszczególne zabytkowe budowle. Równocześnie włączać się będzie automatycznie głośnik schowany dyskretnie i nadawać krótką pogadankę „na temat". Że Barbakan to jest itd. I tak przy każdej chatce. W ten sposób można drogę królewską zamienić na drogę krzyżową. Anieli nie wytrzymaliby tylu pogadanek.

Tak więc krakowianie taki będą mieli Rynek, jaki chcieć będą. Może nawet z fontannami, lodziarniami i stałym kiermaszem pod gołym niebem. Chociaż to wszystko woła o pomstę do nieba. Jest jeszcze nadzieja, że wezmą się do tej przebudowy rynku fachowcy z prawdziwego zdarzenia i uratują sprawę. Wówczas szopka na Rynku zakończyłaby się happy-erdem. Co prawda nie w stylu hollwoodzkim, ale zawsze. Chciałbym zakrzyknąć „Hej stójcie, stójcie!" jak ów starszy zbójca z „Powrotu taty" i spędzić bandę z drogi. Byłoby to absolutnie zgodnie ze światłymi radami, jakie odnośnie pracy dziennikarskiej przesłał mi ostatnio najdowcipniejszy człowiek w Polsce, astronom, zegarmistrz słoneczny, historyk sztuki, mistrz anegdoty, heraldyk, bibliofil, odznaczony orderem „Białego Kruka" i ostatni szlachcic Rzeczypospolitej — dr Tadeusz Przypkowski z Jędrzejowa. Pisze mi: „Pamiętaj, że im lepszy dziennikarz, tym mniej szanuje przykazania boskie. A więc odwalaj, zwalaj, napadaj, rąb, tnij, kaleczy, zabijaj i cudzołóż — byleby całość nie nudno wypadła!" No cóż, człowiek się stara jak może, Panie Redaktorze, mimo mrozu i nie sprzyjających warunków. Nic tam anielskie włosy i zimne ognie, nic tam zapach choinek! Pomikołajowe diabły z remanentów mnie biorą, kiedy patrzę na te czarodziejskie bzdury, jakie wyprawiają z Rynkiem.

Mogą łodzianie rzec, że zły to ptak, co własne gniazdo kala. Racja, to paskudna rzecz paskudzić własny Rynek. Ale to właśnie krakowianie chcą go skalać swoimi pomysłami. A poza tym sięgnijmy raz jeszcze do klasyków. „Nie ten ptak gniazdo kala, co je kala, lecz ten co mówić o tym nie pozwala". Tym razem ukradłem z Norwida. Za namową dra Przypkowskiego. I bez zmrużenia oka to wszystko podpisuję.

BZDURA

KRONIKA

SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

Władysław Rymkiewicz

POGRZEB (IX) ZYGMUNTĄ STAREGO

Stary król (jak nazywano Zygmunta I) zmarł 1 kwietnia 1548 roku, lecz właściwy obrzęd pogrzebowy wyznaczono — ówczesnym zwyczajem — na termin znacznie późniejszy, a mianowicie, po św. Jakubie czyli we czwartek 26 julii (lipiec). Zwłoka w uroczystym złożeniu ciała do grobu tłumaczyła się tym, że należało pozawiadamiać dwory europejskie, co przy ówczesnych środkach komunikacyjnych i braku poczty (stałe urządzenie pocztowe podwód nastąpiło za panowania Zygmunta Augusta, ale dopiero w roku 1564, i to głównie z Italią) nie było sprawą łatwą. A więc jak pisze Łukasz Górnicki w „Dziejach w Koronie Polskiej", przybyli posłowie wielcy od cesarza Karolusa V (Karola V), Ferdynanda króla rzymskiego, elektorów, książąt włoskich, od królowej węgierskiej, od Wenetów (czyli od Rzeczpospolitej Weneckiej) i od innych wielkich książąt, zaś margrabowie branderbursey „sami swymi osobami byli". Uroczystości pogrzebowe z procesjami trwały trzy dni. Posłowie cudzoziemscy otrzymali wspaniałe prezenty. Żadnego króla polskiego nie chowano jeszcze z taką pompą i ceremoniami. Kazanie na mszy wygłosił po łacinie ksiądz biskup Maciejowski, kanclerz koronny, przy czym tak wzruszył słuchaczy że nawet ci, którzy do końca (czyli niezupełnie) rozumieli łacinę, płakali rzewnymi łzami. Szczegółowy opis pogrzebu podał ówczesny kronikarz i poeta, autor pierwszego polskiego zarysu „Dziejów powszechnych" pt. **Kronika wszystkiego świata**, Marcin Bielski. Przytoczę tę relację w skrócie, gdyż ów ceremoniał pogrzebowy jest pod wieloma względami typowy i charakterystyczny dla staropolskich obrzędów pośmiertnych, przestrzeganych przez możnowładców i bogatszą szlachtę. A więc, w kondukcie żałobnym niesiono sześćdziesiąt mar (noszy, na których odnosiło się trumnę do grobu), pod makatami ze złotogłowiu. Za marami szło trzydzieści par koni pod czaprakami z królewskim herbem. Przed marami, na których znajdowały się zwłoki króla, jechał Jan Tarło w kirysie i z gołym mieczem. Następnie kroczyli posłowie ziemscy z insygniami królewskimi: jabłkiem, berłem i koroną. Mary ze zwłokami nieśli dworzanie, dzierżący w rękach płonące, woskowe świece. Młody król Zygmunt August był prowadzony przez posłów cesarza i króla rzymskiego, zaś Bona — przez księcia pruskiego i margrabię brandenburskiego. Po ewangelii i kazaniu Jan Tarło (który wyobrażał osobę zmarłego króla) wjechał konno do kościoła w hełmie i zbroi, przystrojony płonącymi

świeczkami, umieszczonymi na hełmie i na zbroi. Przy marach rycerz zwalił się w świątyni z konia na ziemię — jak to nakazywał obyczaj — zaś kanclerz i podskarbi skruszyli stare pieczęcie otrzymując nowe od młodego króla.

Takie symboliczne widowisko teatralne cieszyło się, naturalnie, uznaniem tłumów i — jak wspomniałem — żaden znaczniejszy pogrzeb nie tylko królewski, nie mógł się odbyć bez tych symbolicznych obrzędów.

Niebawem po pogrzebie wybuchły pomiędzy matką — wdową, a synem poważne niesnaski. Bona w dalszym ciągu domagała się od syna, żeby zerwał małżeństwo z Radziwiłłówną. Zygmunt August sprzeciwił się temu z całą stanowczością i postanowił sprowadzić żonę z Wilna do stolicy czyli do Krakowa.

Dla oddania wagi swemu protestowi przeciwko „nieprzyzwoitemu małżeństwu" króla i dla podburzenia opinii w Koronie, Bona manifestacyjnie opuściła Kraków udając się na Mazowsze, na którym miała zabezpieczoną tzw. „oprawę", albo jak też mówiono, „reformę posagową". Polegało to na tym, że mąż, który otrzymał posag, zapisywał żonie na swych dobrach ziemskich drugą sumę pieniężną w takiej samej wysokości, jak posag, i obie sumy ubezpieczał na swym majątku. W terminologii staropolskiej posag nazywał się „wianem", a ta druga suma, dopisywana przez męża — „przywiankiem", zaś wszystko razem nazywało się właśnie — „oprawą". Wydaje mi się, że była to właściwie lichwiarska transakcja, gdyż obdarowany mąż stawał się od razu podwójnym dłużnikiem hipotecznym własnej żony. Ale nie będziemy się prawowali o obyczaje naszych przodków sprzed 415 lat!

Faktem jest, że wyjazd Bony z Krakowa był zręcznym posunięciem taktycznym, które nie ułatwiało sytuacji zakochanemu w Barbarze po uszy Zygmuntowi Augustowi. Bo i jakże? Zaraz po pogrzebie męża, nieszczęsna królowa wdowa „musi" opuścić stolicę z powodu niezalegalizowanego przez Sejm małżeństwa syna! W oczach całego narodu „ofiarą" była Bona zyskująca sobie współczucie w sercach swych poddanych, zaś „złym synem" był Zygmunt August! Sprytnej Włoszce o to właśnie chodziło.

Sytuacja młodego króla była więc niełatwa, tym bardziej, że nie tylko w Koronie, ale i na Litwie opinia publiczna zwracała się przeciwko Barbarze, która po intronizacji na zamku królewskim w Wilnie doznawała różnych wstrętów i przykrości — od małżonek i matron możnowładców litewskich.

Rozważny i zręczny król starał się łagodzić te incydenty i zalecał unikanie zargów. W korespondencji pomiędzy Barbarą a Zygmuntem Augustem znajdujemy passus w liście króla świadczący o trudnościach i przeciwnościach, z jakimi spotykała się Barbara przed wyjazdem z Wilna do Krakowa: „Widzimy pewnie, że się tym paniom starym żadna przyczyna nie dała, ale nie godzi się, jedno im folgować (to znaczy: ustąpić) — doradza młody monarcha — snadź dla dzisiejszego czasu którego ludzie wszystko w gorsze obracać zwykli. A przeto i z królową jej mością mówcie, aby na czas cierpieć raczyła..."

Przeciwności te nie odwiodły Zygmunta Augusta od sprowadzenia Barbary z Wilna do stolicy. Ale o tym w następnym odcinku.

M. OLECHNOWICZ i Z. RUDNICKI

TEKSTY ADAPTOWANE

Powszechne zainteresowanie nauką języków obcych, zanotowane nie tylko w naszym kraju, spowodowało poważne przemiany w metodzie nauczania. Znalazły one wyraz w odrzuceniu tradycyjnych metod i wprowadzaniu nowej metody, będącej wynikiem wieloletnich i potwierdzonych praktyką badań wybitnych uczonych, psychologów, lingwistów i nauczycieli.

Współczesna metoda nauczania nie jest nawrotem do tzw. „bezpośredniej". Odrzuca ona także rozpowszechnioną w Polsce metodę „mieszaną" wychodząc z założenia, że metoda „gramatyczno-tłumaczeniowa" i „bezpośrednia" wzajemnie się wykluczają i mogą być zespolone jedynie mechanicznie, nie zaś organicznie. Nowe wskazania znalazły zastosowanie w krajach Europy zachodniej i w Stanach Zjednoczonych. Ostatnio wprowadzono je także do programów zreformowanej szkoły w ZSRR.

Omawiana metoda opiera się na stwierdzeniu, że zarówno mówienie językiem obcym, jak i czytanie obcojęzycznych tekstów bez tłumaczenia jest **umiejętnością** wynikającą z **zautomatyzowanego nawyku.** Wyrobienie tego nawyku odbywa się stopniowo na podstawie **wyselekcjonowanych, podstawowych struktur językowych** (modele) **i ściśle określonego słownictwa.**

Stwierdzono bowiem, że zarówno struktury językowe, jak i słownictwo mogą być ściśle uszeregowane pod kątem częstotliwości ich występowania w mowie i piśmie. Innymi słowy, mają różną zdolność tekstotwórczą. Metodę tzw. „mieszaną" i „bezpośrednią" cechuje w tym zakresie przypadkowość, a nie ściśle określona selekcja.

Stwierdzono, że dla czynnego opanowania języka obcego nie potrzeba przyswajać sobie całego i ogromnego zasobu struktur oraz słownictwa danego języka, lecz jedynie zasadniczą część, właśnie tę, która wykazuje najwyższą częstotliwość. Liczba tego słownictwa w języku mówionym jest zaskakująco niska, zawiera bowiem tylko około **tysiąca słów,** którymi można wyrazić ponad 1.400 pojęć zależnie od kontekstu. Opanowanie tego tysiąca słów w podstawowych strukturach zdaniowych pozwala zrozumieć 70 proc. każdego średnio-trudnego tekstu literackiego.

Obliczenia wykorzystano w nauczaniu języków obcych przez wprowadzenie tzw. adaptacji języka mówionego i pisanego. Polega ona na dostosowaniu podręczników i lektury pomocniczej do określonego zakresu struktur i wyrazów (np. 400, 700, 1000). Liczba słownictwa przypadająca na jeden stopień nauczania wynosi 300 do 500 wyrazów.

Uczący się przyswaja sobie czynnie struktury językowe zawierające określony zasób wyrazów w szkole, lub na kursach; następnie utrwala poznany materiał w domu czytając dużo tekstów adaptowanych. Proces ten nazywamy „bombardowaniem". Należy przy tym ograniczyć do minimum, bądź lepiej całkowicie wyeliminować rolę języka ojczystego jako języka — pośrednika. Czytaniu lektury adaptowanej nie powinno więc towarzyszyć tłumaczenie.

C. C. Fries uważa, że stosowanie na dłuższą metę tłumaczenia, jako środka nauczania, nie tylko nie ułatwia opanowania języka, ale wręcz uniemożliwia. Wyniki szkoły polskiej potwierdzają tę tezę w całej rozciągłości.

W toczącej się ostatnio w

wielu krajach dyskusji o roli podręcznika w procesie nauczania języka obcego podnoszono, że opanowanie języka wyłącznie na podstawie podręcznika jest niemożliwe. Podręcznik może być jednym z elementów i to nie głównym. Uczeń musi powtórzyć przynajmniej kilkanaście razy nowy wyraz w różnych konstrukcjach zdaniowych, zanim je czynnie opanuje. Taki wynik można osiągnąć poprzez czytanie tekstów adaptowanych, najlepiej poprzez głośne czytanie. Jest to dobra droga wiodąca do wyrobienia w sobie myślenia w obcym języku.

Już po przeczytaniu 700 do 800 stron tekstów adaptowanych uczący się opanowuje czynnie podstawowe struktury i związki wyrazowe bez specjalnie dużego nakładu pracy, co jest cenną zaletą tej metody. Teksty przeznaczone są do samodzielnego czytania, należy więc je przede wszystkim czytać w domu. Na lekcjach zaleca się przeprowadzać ustne streszczenia, rozmowę na temat przeczytanego tekstu.

Studium Języków Obcych UŁ w porozumieniu z kuratorami Okręgów Szkolnych, mgr. M. Woźniakowskim i mgr. L. Sassem oraz Studium Języków Obcych Politechniki Łódzkiej i Akademii Medycznej w Łodzi, zastanawia się nad najbardziej przydatną formą założeń przedstawionych w niniejszym artykule. W tym celu przedstawiamy próbkę tego rodzaju tekstów.

Już teraz możemy zasygnalizować, że inicjatywa drukowania tekstów adaptowanych w języku obcym w czasopiśmie znalazła żywe zainteresowanie nie tylko na centralnych konferencjach krajowych, ale również, o czym świadczą posiadane przez nas opinie, za granicą.

Prosimy Czytelników, którzy interesują się tymi zagadnieniami, i którzy zwracają się o wprowadzenie tego działu w „Odgłosach" o nadsyłanie swych uwag.

Dalszy ciąg ze str. 1

ROZWAŻANIA O MAPIE KULTURALNEJ ŁODZI

pobiegania wszelkim niedomaganiom.

Niniejsze rozważania mają być przyczynkiem do przypomnienia niektórych faktów, do ich przedyskutowania przez bardziej kompetentnych twórców i działaczy.

W codziennej pracy i trudzie widzimy nasze miasto jako zamknięte skupisko tych, którzy tworzą wartości kulturalne, upowszechniają je i konsumują. A wszystko to otaczamy granicami administracyjnymi wielkiej Łodzi, najczęściej jednak zacieśniamy do szeroko pojętego śródmieścia. W poważnej mierze zapominamy o pustkowiu naszych przedmieść, a najczęściej o przemysłowym okręgu, pozostawiając odleglejsze powiaty prowincjonalnej nudzie i bezdziejowości.

Wielkie miasto, rozlokowane w centrum kraju, o dziesiątkach i setkach placówek kultury, o tysięcznych rzeszach działaczy i twórców ma obowiązek zaspokajania potrzeb duchowych i artystycznych nie tylko swoich współmieszkańców, ale także milionowych odbiorców wojewódzkiego zaplecza i dalszych terytoriów środkowej Polski. Mieszkańcy zakreślonych ziem to naturalni odbiorcy, tęskliwie wyczekujący na interesującą i o głębokiej treści prelekcję, na żywo o pełnej informacji redagowaną gazetę lub periodyk, na wartościowy film dokumentalny i fabularny, na komunikatywny koncert muzyczny, na teatralne spektakle lub wartościowe składanki, na wystawy plastyki i ekspozycje muzealne, na zespoły artystyczne, które poważnie będą traktować prowincjonalnego odbiorcę.

Piętrzą się przeliczne zadania, potrzeby codzienne wzrastają. W niewielkim zakresie te potrzeby zaspakajają nieliczne jeszcze, często amatorskie, placówki terenowe. Miasta, miasteczka i osiedla pragną widzieć i podziwiać twórców z prawdziwego zdarzenia, często dopominają się o ustalone wielkości w zakresie kultury. Dążność ta zdrowa i godna poparcia. Przed łódzkim środowiskiem wyrosły wielkie możliwościa jednocześnie poważne zadania, wypełnienie których pociągnie za sobą ogromny wysiłek organizacyjny i niemałe nakłady finansowe. Rozwiązanie tego kapitalnego problemu w dziedzinie kultury wymagać będzie ścisłego współdziałania twórców, organizatorów, władzy terenowej, zakładów pracy z pomocą czynników politycznych. Możliwości finansowe miasta są ograniczone. Dla spełnienia tych powinności muszą otworzyć się skarbce pozałódzkie, szczególnie t e r e n o w e, a może także i c e n t r a l n e? Miasto już teraz świadczy na rzecz uczącej się młodzieży spoza Łodzi w łódzkich szkołach (m. in. artystycznych), na badania terenowe muzeów, na upowszechnienie kultury artystycznej (muzycznej, plastycznej, teatralnej) na instruktaż metodyczny dla powiatowych domów kultury, świetlic i zespołów z terenu województwa łódzkiego. Ludność okolicznych miast i osiedli używając dogodnych warunków komunikacyjnych często korzysta ze świadczeń placówek kultury (m. in. z teatrów) i rozrywki Łodzi. O tym musimy pamiętać, o tym także zechcą pomyśleć nasi wojewódzcy partnerzy.

Coraz częściej mówimy o geografii kultury, o mapach i planach placówek. Takie nowe spojrzenie i kartograficzne ujęcie problemów kultury naszego miasta daje wiele do myślenia. Wszyscy wiemy, że przybytki sztuk skoncentrowały się w bardzo zacieśnionym śródmieściu Łodzi. Są to konsekwencje minionych dziesiątków lat w rozwoju kulturalnym miasta, w jego historycznej specyfice. Jak bez Piotrkowskiej nie wyobrażamy sobie centrum miasta, podobnie nie odzwyczailiśmy się od skupiania jednostek klutury poza handlową i spacerową częścią Łodzi. Jak wiele jeszcze kryje się w tym konserwatyzmu. Z mapy placówek kultury nieubłaganie należy stwierdzić śródmiejską ciasnotę i nieliczne przykłady pamięci o kulturalnych potrzebach ludności niedawnych przedmieść i peryferyjnych terenów.

Z wejściem do społeczności wielkiego miasta ludność terytoriów obrzeżnych ma pełne prawo korzystania ze wszystkich dobrodziejstw gospodarki komunalnej w najszerszym słowa tego znaczeniu, w tym również z ośrodków i placówek pracy kulturalnej. Wprawdzie regulowanie spraw przedmiejskich, coraz głębsze wkraczanie na tereny budownictwa przemysłowego i mieszkaniowego wnosi nowe elementy kultury, to jednak w dalszym ciągu grubo nie zabezpiecza rosnących pragnień ludności, zasiedlającej ziemie oddalone od miejskiego city. Naczelnym zadaniem na przyszłe lata to częściowa deglomeracja placówek z centrum miasta do poszczególnych dzielnic ewentualnie przez bardzo sprężystą organizację imprez oraz pełną i dogodną sieć komunikacyjną, zabezpieczenie potrzeb kulturalnych ludności, dotychczas pozbawionej możliwości częstego kontaktowania się z wartościami współczesnych osiągnięć artystycznych i naukowych.

Drugie zagadnienie z geograficznych czy kartograficznych rozważań wypływające to zupełnie wyraźny podział miasta na dwie bardzo nierówno wyposażone w placówki kultury części, na „północną i południową" biorąc za linię podziału ulice Nawrot i Zamenhofa. Przytłaczającą przewagę w tym aspekcie posiada północna część, obejmująca między innymi dawne centrum miasta. Niemal wszystkie ważniejsze instytucje kultury tutaj się zadomowiły. Podstawowe nasze biblioteki, teatry, kluby, domy kultury, kina, muzea, księgarnie, ba, nawet pomniki i tablice pamiątkowe, Filharmonia, radio, telewizja, szkoły artystyczne mieszczą się na północnych terenach Łodzi. Fakt ten pogłębimy oddaniem do użytku w najbliższych latach Teatru Narodowego i przeniesieniem Operetki na ulicę Północną. Na korzyść części południowej miasta niewiele obiektów kultury można wyliczyć. Tak ostro zarysowana sytuacja sama za siebie przemawia. Rozwiązanie tego problemu należy do szerokich kół zainteresowanych częściową melioracją kulturalną południa Łodzi i zrównania w korzyściach z placówek artystycznych i oświatowych ludności Łodzi części południowej i północnej.

Wreszcie sprawa związana tylko częściowo rozważaniami z kręgu geografii kultury. Sieć bibliotek powszechnych jest najbardziej równomiernie ze wszystkich placówek kultury w mieście rozwinięta i dość konsekwentnie realizowana. Jednak przyjmując ogólnopolski wskaźnik (1 biblioteka na 10.000 mieszkańców) brak nam 30 placówek bibliotecznych, przede wszystkim upośledzone są w tym względzie peryferie naszego miasta. Wprawdzie nawe osiedla mieszkaniowe przewidują lokalę biblioteczne, daleko nam do pełnego zrealizowania siatki tych placówek, a zatem nie potrafimy jeszcze zaspokoić głodu książki i czasopism naszych mieszkańców. Kroczymy nieco dalej. Łódź słynęła ze swego dorobku upowszechniania książki. Słynna w całym kraju Miejska Biblioteka Publiczna (im. L. Waryńskiego) stawiana była za wzór pracy oświatowej z masowym czytelnikiem. Miasto zawsze uchodziło za kuźnię nowych kierunków, dróg i form w bibliotekarstwie i czytelnictwie. Coś jednak nie domaga, skoro nieubłagane liczby za 1960 rok stawiają nas na niemal ostatnim miejscu w Polsce, daleko w tyle od przeciętnej w kraju w zakresie czytelnictwa, ilości księgozbiorów, możliwości wypożyczeń, nakładów finansowych. Smutne to stwierdzenie, iż łódzki czytelnik musi czekać niemal trzy razy dłużej na nowość niż mieszkaniec innych województw i miast wydzielonych. Przeraźliwiej jeszcze wygląda praca z czytelnikiem. Średnia krajowa kształtuje się na 12 czytelników na 100 mieszkańców, w województwie bydgoskim nawet 17 obywateli korzysta z bibliotek publicznych, w naszym mieście jest źle, bo zaledwie 6 łodzian jest odbiorcami naszych powszechnych księgozbiorów. Dalsza analiza sytuacji czytelnictwa łódzkiego doprowadza do smutnych refleksji, z których wnioski muszą wyciągnąć wszyscy pracownicy kultury z władzami terenowymi na czele.

Przykłady do rozważań nad sytuacją w dziedzinie upowszechnienia kultury w Łodzi i roli miasta dla przynajmniej wojewódzkiego zaplecza można by mnożyć. Intencją niniejszych spostrzeżeń była dobra rola wywołania szerokiej dyskusji o polityce w dziedzinie kultury na terenie miasta. Dalsze głosy dopełnią treść moich wywodów. Uwagi tutaj wyłożone wypłynęły z dyskusji nad sprawami kultury miasta, zainicjowanej na egzekutywie Komitetu Łódzkiego PZPR.

ROMAN KACZMAREK

informacje i zaczepki

Niedawno odbyło się w Łodzi ogólnopolskie seminarium poetyckie dla członków korespondencyjnych klubów młodych przy Związku Młodzieży Wiejskiej i ZMS-owskiej grupy „Nowa Linia". Referat wygłosił wybitny poeta współczesny Zbigniew Bieńkowski.

◎

W grudniu ub. r. nasze miasto otrzymało nową już 28 wypożyczalnię książek dla dorosłych oraz 16 wypożyczalnię dla młodzieży. Z nowym rokiem życzymy sobie podwojenia tych liczb.

◎

W „Dzienniku Łódzkim" czytaliśmy ostatnio o „ofensywie łódzkich plastyków". Szkoda tylko, że nie wspomniano choćby jednym słowem o pracy łódzkiego Oddziału Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, która to placówka jest przede wszystkim organizatorem dziesiątek wystaw plastycznych i jej raczej należą się jeśli nie laury to chociaż słowa uznania.

◎

Na około 500 osób przypada w Łodzi jeden lekarz, a z lecznictwa państwowego korzysta 98 proc. mieszkańców naszego miasta.

◎

W ubiegłym miesiącu obradował w Łodzi III Wojewódzki Zjazd Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskiego. Zaproszeni lekarze nie przybyli na sale obrad. O czym to świadczy?

◎

Czternaście tysięcy abonamentów teatralnych zakupili już łódzcy uczniowie. Rzecz dziwna, że przodują tutaj technika — licea ogólnokształcące zostały daleko w tyle.

◎

W Łodzi gościł ostatnio wybitny dyrygent jugosłowiański Milan Horvat.

◎

Narzekamy na chuligaństwo i niezdyscyplinowanie sportowców. Ale jak się ostatnio dowiadujemy sportowa „góra" też nie lepsza. Ostatnio Łódzki Okręgowy Związek Piłki Nożnej ukarał aż siedemnastu... trenerów za „brak subordynacji i dyscypliny". Jaki pan taki kram.

◎

W Młodzieżowym Domu Kultury powstał ostatnio klub filmowy dla młodzieży szkolnej. Jest to już drugi tego typu klub w Łodzi. Pierwszy istnieje jak wiadomo przy Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

J.W.

A SHORT DREAM

D. J. MAY

My brother had a dream at about midnight last night. He was asleep, but he shouted and he moved his arms. He told his dream to me this morning. He said:

— I had a dream last night. I was a sailor in my dream. I went on a boat to a foreign country. There were pretty parks there, but there were no men and women. There were red cows and green ducks in the parks and all of them were big. The ducks had yellow wings. There were blue fishes in the lakes and all of them had two tails. I shouted 'Is there any one here?" but nobody said anything. The country was beautiful, but it frightened me.

I went to another country. I shouted "Is there anybody here?" again. Nine beautiful girls suddenly ran out of a wood. They looked at me and they laughed. I thought "I'm ugly and they are laughing at me now", but another beautiful girl came out of a small house then and she said "You are not ugly, you are handsome. Those other girls are stupid".

I went into the house with her and... suddenly, I was awake.

I said to my brother:

— That was a nice dream.

But my brother was angry and he said:

— I was a short dream.

The Beast was very sad. Beauty felt very sorry for him again.

Three months passed. Beauty took her magic mirror and saw in it that her father was very ill. She went to the Beast and said:

— Please, let me go to see my father. He is very ill.

— Go if you must, Beauty. But please, come back in a week or I shall die without you.

Beauty went home and she was very happy to see her father again, so happy that she forgot all about her promise.

A week passed and Beauty was still at home. Another week passed and one night Beauty dreamed that the Beast was dead.

— I must keep my promise — said Beauty and went quickly to the Beast.

She ran into his castle and began to look for him. She went into the garden, and there she found the Beast. He was lying on the grass quite weak and ill. He opened his eyes and smiled.

— I could not live without you, Beauty. I love you.

— And I love you too — said Beauty. — You must not die. I shall marry you...

At once the Beast turned into a handsome Prince. He took her hands in his, looked into her eyes and said:

— Some years ago a bad woman turned me into that ugly beast. „You will remain so ugly until a beautiful girl promises to marry you, ugly as you are" said the bad woman to me.

Beauty kissed her handsome Prince and they were very very happy.

DER FROSCHKÖNIG

nach W. Grimm

Es lebte einmal ein König. Er hatte schöne Töchter, aber die jüngste Tochter war so schön, wie die Sonne. Sie war die schönste von allen Töchtern.

Bei dem Königsschloss lag ein grosser und dunkler Wald. In diesem grossen und dunklen Wald war ein tiefer Fluss

An heissen Tagen ging die jüngste Königstochter in den dunklen Wald und setzte sich an dem Ufer des tiefen Flusses. Dort war die Luft nicht so heiss; dort war die Luft kühl.

Die Königstochter sass am Fluss und spielte mit einem Ball aus Gold. Sie warf den goldenen Ball in die Höhe und fing ihn wieder in ihre kleinen Hände. Das war ihr liebstes Spiel.

Eines Tages war es wieder sehr heiss. Die Königstochter ging in den dunklen Wald und setzte sich an den Fluss. Sie sass und spielte mit dem goldenen Ball. Sie warf den Ball in die Höhe, aber... der Ball fiel nicht in ihre kleinen Hände. Der goldene Ball fiel in den tiefen Fluss, ins tiefe Wasser hinein.

Die schöne Königstochter war sehr, sehr traurig und weinte sehr laut und sehr lange.

— Warum weinst du, schönste Königstochter? Warum bist

— Aber die Suppe schmeckt gut, sehr gut — sagte der Frosch.

Die Königstochter sagte nichts, sie war böse.

— Jetzt will ich schafen gehen. Komm mit mir. Wir gehen in dein Schlafzimmer.

Die Prinzessin wollte nicht gehen, aber der Vater sagte:

— Du musst dein Wort halten.

Die Königstochter nahm den Frosch mit zwei Fingern und ging mit ihm ins Schlafzimmer. Sie legte den Frosch auf einem Stuhl und ging schlafen. Da kam der Frosch plitsch platsch, plitsch platsch, plitsch platsch und sagte:

— Ich will in deinem Bett schlafen, oder ich sage es deinem Vater. Du musst dein Wort halten.

Die Prinzessin war sehr, sehr böse. Sie nahm den Frosch in die Hand und warf ihn aus allen Kräften an die Wand.

— Da hast du! Jetzt will ich ruhig schlafen — sagte die Prinzessin.

Aber in diesem Moment verwandelte sich der Frosch in einen schönen Königssohn.

Die schönste Königstochter und der schöne Königssohn wurden bald ein glückliches Ehepaar. Wenn sie nicht gestorben sind, dann leben sie noch bis heute.

ZBIGNIEW NIENACKI

Wotek i judaszow

— Trzymaj się — rzekła podając mu dłoń. Naprzeciw nich uliczką nadchodziło dwóch ludzi. „To pewnie jej obstawa" — pomyślał Albert.

Anastazja wskoczyła na siodełko, odepchnęła się nogą od ziemi i ruszyła wprost na nadchodzących. Rozstąpili się przepuszczając ją, bo jechała chodnikiem jak to zwykle w małym miasteczku.

Albert odwrócił się i poszedł w kierunku domu majorowej. Gdy przechodził przez jezdnię o mało nie rozjechał go samochód. Ten sam „gazik", który minął ich nie dawno.

Z wozu wyskoczył Jaruga.

— Pojechała? — spytał — myślałem, że się od niej nie odczepisz?

— Nie dogonicie jej — rzekł Albert.

— Eee, gadanie. Moje chłopaki są również na rowerach. Nie puszczą jej dalej jak do krzyża za miastem.

— Ma obstawę. Widziałem jakichś dwóch facetów...

— Dwóch? Pieszo? To moje chłopaki — ucieszył się Jaruga.

— Nie weźmiesz jej żywcem...

— Zobaczysz. A ty? — spytał — Jaruga.

— Ja? — zdziwił się Albert. — Przecież wiesz...

— Do wieczora będzie po wszystkim. Trzymaj się — zawołał Jaruga. Wgramolił się do auta i odjechał.

Albert spojrzał na zegarek i pomaszerował prosto do koszar. W pewnej chwili wydało mu się, że z głębi nocy, z ciszy i mroku, doleciał go daleki odgłos wystrzałów. Uczuł potrzebę wypicia choćby kieliszka wód

W uliczce obok hotelu rozlewała się muzyka, zapewne w kawiarni odbywał się dancing. Wszedł w duszną, zadymioną salę, otoczyły go zaczerwienione twarze ludzkie, przygaszony dymem blask świateł. Dobrnął do bufetu, bo mimo późnej pory nie widział wolnego stolika. Potrącany przez kelnerów pił wódkę na stojąco. Nagle zobaczył Sowę, który siedział w towarzystwie Ligęzówny. Na stoliku stały trzy puste ćwiartki wódki. Pozwalała Sowie obejmować się i kłaść rękę za dekolt.

Zamierzał zapłacić, gdy zauważył na sobie spojrzenie krawcowej. Podniosła się od stolika i trochę niepewnie podążała do bufetu.

— Majorze, Pan mnie... zaniedbał — powiedziała wyciągając do niego rękę już z odległości trzech kroków. Była jak tonący sięgający ręką do brzegu.

— Pociesza się pani komendantem milicji.

— Sowa? — skrzywiła się. Na spoconej twarzy ślady oparzelizny wyglądały jak nalepione na skórę brudne papierki. — On nie jest komendantem. Z partii też go wyleli... Sowa to nocny ptak. Sowy powinny mieszkać w lesie — zachichotała.

— Niech pani będzie ostrożna. Jaruga go lubi.

— A ja mam słabość do Jarugi...

Albert odstawił na bufet szklankę po kawie.

— Wiem o tym. Może pragnie pani zażyć małej przejażdżki?

— Czym, jeśli wolno spytać.

— Arką Noego. Skonstruowałem wehikuł, teraz kompletuję załogę. Zdecydowałem się zabrać stąd po parze różnego rodzaju bydlaków, judaszy i kanalii. Pojedziemy, choćby na księżyc. Czy odpowiada pani taka przejażdżka?

Była trzeźwiejsza niż sądził. Przybladła, ślady oparzenia stały się znowu czerwone jak koguci grzebień.

— Pan myśli... — zająknęła się. — Pan myśli, że ja... że ja dla Jarugi?...

— Nic nie myślę. Żartowałem. Przepraszam.

Odsunął ją z drogi i wyszedł z kawiarni. Orkiestra rozpoczęła skoczny „kawałek", który ścigał go melodią aż do rogu pierwszej przecznicy.

O czwartej rano Albert wyprowadził samochód z podwórza koszar. Wielki „Zis" z krytą brezentem budą potoczył się po wybojach ulic, przemknął przez most na rzece i wybiegł na asfaltową szosę. Albert jechał wolno, z przyjemnością wdychając powietrze wypełniające szoferkę — zapach skórzanego oparcia, benzyny i oliwy. Świt wstawał mleczny, wyślizgana nawierzchnia jak metalowa wstęga nawijała się na koła samochodu. Potem Albert skręcił na szosę — żwirówkę, rozpoczynały się lasy. Jeszcze bardziej zwolnił i odkręciwszy szyby nadstawił policzek i włosy na chłodny pęd wiatru. Nawet przed samym sobą nie śmiał się przyznać, że wraz z każdym kilometrem przybywającej drogi rośnie mu w gardle uczucie dławienia jakby ktoś zaciskał pętlę na szyi. Był to strach. Im mniej kilometrów dzieliło go od gajówki, tym droższa stawała się dla niego każda przemijająca sekunda. Może to okażą się ostatnie chwile jego życia? Może jak Kurtman, z rozwaloną czaszką padnie na jakiejś ścieżce leśnej?

Zza lasu podniosło się wielkie słońce. Na krawędziach czerwone, w środku rozpalone do białości. Dzień zapowiadał się upalny, bezchmurny. Czy dane mu będzie zobaczyć schyłek tego dnia, słońca chowającego się poza lasy?

...Strach. Czuł, że brakuje mu tchu. Zahamował i wyskoczył z kabiny. Fala krwi napłynęła mu do twarzy, serce waliło, w skroniach łomotało. Usiadł na stopniach szoferki, spoglądając gdzieś po czubach wysokich sosen, starając się nie myśleć o niczym. Powoli uspokajał się. Zapalił papierosa.

Szosa biegła pośród wysokiej równej ściany lasów. Powietrze przepełniała cisza wczesnego poranku, szkliła się rosa na trawie porastającej rów przydrożny. Motor „Zisa" stygł emanując przyjemnym ciepłem.

„Do wieczora będzie po wszystkim" — myślał Albert.

W dużej wsi z neoromańskim kościółkiem o dwóch wieżach skręcił z szosy w piaszczystą polną drogę. Przebył płytki strumień, ominął wydmy piaszczyste, wrzosowiska i znalazł się w małej wiosce przytulonej do lasu. Wysokie grube sosny wchodziły aż na podwórza, między obory i stodoły. Zagród było zaledwie kilka i droga pobiegła po wysokim nasypie przez moczary porośnięte olszynami. Nagle teren stromo wniósł się w górę. Zatrzymała Alberta „czujka" Rokity. Dwóch uzbrojonych w automaty żołnierzy poprowadziło go pod daszek karmnika dla saren, gdzie znajdował się telefon polowy, połączony z odległą o pół kilometra gajówką.

— Do wieczora będzie po wszystkim — powtarzał sobie Albert. Nałożył na twarz granatową maskę — zwykły szalik z wyciętymi otworami na oczy, nos i usta.

Rokita dał telefonicznie rozkaz wjazdu. Żołnierz „czujki" wskoczył na stopień „Zisa" i eskortował Alberta aż do niedużej polany. Na ganku oczekiwał Alberta sztab Rokity.

Rokita wyglądał jak wiejski kramarz w oficerskim mundurze. Mawiał o sobie, że ma figurę Napoleona. Chodził wyprostowany, wypinając brzuszek i po napoleońsku zakładając ręce na piersi. Twarz miał tęgą, nalaną. Przedwojenną czapkę oficerską wciskał głęboko na czoło. Ciasno zapięty kołnierz wpijał się w kark. Nosił głowę wysoko, sznurując wąskie wargi.

— Proszę się śpieszyć. Najpóźniej o dziesiątej rano musimy być pod Warszawą — przypomniał Albert.

Rokita zmierzył go pogardliwym spojrzeniem:

— A jeśli się spóźnimy?

— Pułkownik Johnson jest przyzwyczajony do punktualności.

Rokita poczerwieniał. Pochylił głowę, usta zbiegły mu się w cieniutką szparkę.

— Coś mi się wydaje, że w oczach tych Anglików liczymy się jak mięso armatnie. Nic mu się nie stanie, jeśli sobie trochę poczeka...

— On jest gościem, a wy gospodarzami. Gospodarzy obowiązuje punktualność.

To przekonało Rokitę.

— Prędzej tam! Ruszać się! — przynaglił krzykiem swoich ludzi, którzy wynosili z gajówki skrzynki z nabojami, broń i układali ją wewnątrz wielkiego pudła „Zisa". Broń była piękna, nowoczesna, doskonale utrzymana i Rokita szukał w oczach Alberta choćby cienia zachwytu. Jego ludzie mieli na sobie przeważnie polskie nowe mundury, niedawno przecież rozbili transport z żywnością i mun-

Dalszy ciąg na str. 10

BEAUTY AND THE BEAST

There was once a man who had three daughters. Nobody liked the two eldest. They were bad and ugly. But the youngest was good and so beautiful that everyone called her Beauty.

One day the man said to his three daughters:

— I must go to the big city. What presents shall I bring you back, my daughters?

— A beautiful dress — said the eldest daughter.

— A beautiful hat — said the second daughter.

The third daughter was silent. She asked for nothing. So the man said:

— What shall I bring you my dear Beauty?

— Just a rose, Father, please — said Beauty.

The man spent two days in the big city. He bought a beautiful dress and a beautiful hat for his two eldest daughters.

On his way back he was riding through a dark wood. Suddenly a storm broke out. The man climed a tall tree. He saw a fine castle. There were lights in all the windows and all the doors were opened.

He went in. There were many beautiful rooms. In one of them there was a large table and there were very many good things on it. The man was very hungry. So he sat down and ate what he wanted. Then he went to one of the bedrooms to sleep.

The next morning after breakfast he went into the garden. It was a very beautiful garden. He saw a rose-tree. This reminded him of his promise to Beauty.

Just as he was cutting a rose he saw a very very ugly man. His face was like the face of a beast.

— You steal flowers from my garden! Now you must die! — cried the Beast.

— Forgive me! — cried the man. — I only picked a rose for one of my daughters.

— I will spare you life — said the Beast. — But you must send me one of your daughters.

The man went home and told his daughters the whole story.

— You must keep your promise — said Beauty. — I will go to the castle.

The next day she went to the castle. Beauty was very much frightened when she saw the Beast.

— Don't be frightened — said the Beast. — No harm will happen to you. Besides I shall give you a magic mirror. It will tell you all you want to know.

— The Beast took Beauty's hand and showed her about the house.

— Here is your room — he said. — Don't be frightened.

She lived in his castle and she seldom met the Beast. Sometimes he came and talked kindly to her. But he was always very sad.

— Am I very ugly? — he asked one day.

— Oh, yes, you are — said Beauty.

The Beast was very sad. Beauty felt very sorry for him.

— Could you marry me, Beauty? — asked the Beast another time.

— No! Oh, no! — cried Beauty.

du so sehr, sehr traurig? — hörte sie aus den Tiefen des Flusses.

— Wer spricht hier? — fragte die Königstochter.

— Ich! — hörte sie wieder und ans dem Wasser kam ein grüner Frosch heraus.

— Warum weinst du, schönste Prinzessin? Warum bist du so sehr, sehr traurig? — fragte wieder der grüne Frosch.

— Ich weine, weil mein goldener Ball in den Fluss gefallen ist und deswegen bin ich so sehr, sehr traurig.

— Weine nicht, schönste Prinzessin. Ich bringe dir deinen goldenen Ball aus dem Wasser — sagte der Frosch. — Aber was gibst du mir?

— Was willst du? Meine Perlen, meine goldene Krone, meine Kleider, oder meinen goldenen Ring?

— Deine Perlen, deine goldene Krone, deine Kleider, auch deinen goldenen Ring will ich nicht.

— Was willst du denn?

— Ich will dein Freund sein. Ich will mit dir zusammen essen, mit dir zusammen spielen und in deinem Bett schlafen.

— Ach, schon gut — sagte die Prinzessin.— Ich verspreche dir alles, was du willst. Ich will nur meinen goldenen Ball wieder haben.

Der Frosch ging unter Wasser und nach einiger Zeit kam er mit dem Ball hoch und warf den Ball ins Gras. Die schöne Königstochter war voll Freude, als sie den goldenen Ball wieder in ihren kleinen Händen hatte und lief schnell nach Hause.

— Warte, warte! — rief der Frosch. — Nimm mich mit, nimm mich mit! Ich kann nicht so schnell laufen.

Aber die Königstochter wollte nicht hören, was der Frosch rief. Sie war glücklich, dass sie ihren goldenen Ball wieder hatte und lief noch schneller.

Zu Hause sass der König am Tisch mit seinen schönen Königstöchtern und wartete auf die jüngste Tochter. Sie kam ins Zimmer, setzte sich am Tisch und alle begannen das Mittagessen zu essen. Sie assen mit goldenen Löffeln. Die Teller waren aus Gold und auf dem Tisch in der Mitte stand eine goldene Vase.

Plötzlich hörte man auf der Marmortreppe plitsch platsch, plitsch platsch, plitsch platsch. Der Frosch kam langsam und klopfte an der Tür.

— Schönste Königstochter, öffne die Tür — rief der Frosch.

Die Königstochter war böse und wollte die Tür nicht öffnen.

Der König schaute auf seine Tochter und fragte:

— Warum machst du die Tür nicht auf?

Die Königstochter erzählte dem Vater die ganze Geschichte. Der König sagte am Ende:

— Du musst jetzt dein Wort halten, liebe Tochter.

Die Prinzessin ging und öffnete die Tür. Der Frosch kam ins Zimmer und bald war er auf dem Stuhl und dann auf dem Tisch. Die Schwestern lachten und die Königstochter war sehr böse.

— Ich will mit dir zusammen essen, schönste Königstochter — sagte der Frosch.

— Die Prinzessin konnte nicht essen. Sie gab den goldenen Löffel dem Frosch.

Dalszy ciąg ze str. 9

durami dla garnizonu KBW. Tylko kilku chodziło w angielskich frenczach.

— Tych posadzimy w głębi budy — wyjaśnił Rokita. — A bliżej wyjścia usiądą wszyscy w naszych mundurach. Będziemy wyglądali jak normalny oddział wojskowy w drodze na nieprzyjaciela. Zaczepi nas kto, pluniemy takim ogniem, że z napastnika zostanie g... i trepy. Zabieram dwa moździerze, dziewięć RKM-ów z trzema skrzyniami nabojów, dwie skrzynie granatów, skrzynię karabinów, poza tym wszyscy moi ludzie mają broń automatyczną. Steny ze zrzutu w roku 1944. Warto by jeszcze raz obrócić. Pozostaje bowiem prawie cały skład broni i amunicji. Zrzut z 1943 roku.

— To trzeba uzgodnić z Johnsonem. Ja jestem gotów jeszcze raz odbyć podobną przejażdżkę — powiedział obojętnie Albert licząc oczami kręcących się wokół samochodu ludzi Rokity. Naliczył sześćdziesięciu.

— Ileż do diabła chce pan wpakować do wozu?

— Trzydziestu. Tak się umawialiśmy... Trzydziestu najlepszych moich partyzantów.

— A reszta?

— Reszta będzie się szwarcować w pojedynkę. Pociągami. Wszystkie oddziały rozpuszczam. Jak się zadomowię u „Żelaznego" przerzucę tu łącznika, który nawiąże kontakt z ludzmi i powie im gdzie się mają szwarcować.

Jaruga planuje pojutrze uderzenie na Graby. Uderzy w próżnię: ryby z saka uciekły. Cały teren został zaminowany, odjedziemy, to miny założą i na drodze.

Albert dotknął palcami twarzy. Maska uwierała go, skóra paliła pod nią, swędziła.

— Wygląda pan, majorze, jak Rinaldo Rinaldini — rzekł Rokita.

Albert udał, że nie wyczuł złośliwości.

— Nie chcę drżeć ze strachu, że któremuś z pańskich ludzi podwinie się noga i wyda mnie tak samo, jak wydano już tylu innych. Uczestniczę w wielu śledztwach i przesłuchaniach. Sypią. Wszyscy wszystkich sypią. Przez jakiegoś mięczaka nie mogę zaprzepaścić zadania, dla którego przerzucono mnie tu z Anglii. Wolę dziś wydawać się śmieszny, w tej masce z brudnego szalika.

— Jest pan ostrożny...

— Tego nas przede wszystkim nauczono w angielskich szkołach wywiadu.

— Czy są jakieś możliwości przedostania się na tamtą stronę?

— Tak. Ale o tym zadecydować może tylko pułkownik Johnson.

— Johnson i Johnson. Do licha. Przecież walczymy w Polsce nie w Anglii. Cóż to za jeden? Angielski gauleiter na Polskę?

Albert nie odpowiedział. Rokita zaprosił go na śniadanie. Według życzenia Alberta jedli we dwójkę w osobnej izbie. Albert mógł zdjąć maskę.

Na ścianach wisiały czarne od starości obrazy świętych. Na lnianym obrusie stała łaska masła, czarny wiejski chleb. Rokita przyniósł butelkę wódki, ale Albert ograniczył się tylko do jednego kieliszka. Rokita nie namawiał. Albert miał prowadzić samochód.

Wódka podziałała na Rokitę prawie natychmiast. Poczerwieniał, oczy mu błyszczały. Sięgnął do swojej torby oficerskiej i wyciągnął z niej garść papierów.

— Dziś rano napisałem rozkaz dla swoich żołnierzy. Nie chciałbym, aby nasze przeniesienie się na inny teren spowodowało panikę wśród pozostałych, a co najgorsze, żeby komuniści nie rozpuścili o mnie jakiejś bajdy. Ludzie skłonni są wierzyć nawet wierutnym bzdurom.

Przeczytał:

— Walka nasza o ideały komplikuje się i przedłuża. Ważną rzeczą jest, aby umieć dostosować się do nowych warunków i okoliczności, a jeszcze ważniejszą — aby umieć przetrwać niepowodzenia i kryzysy, aby zachować wiarę w szlachetność zasad, aby broń Boże — kiedy wydaje się, że wszystko sprzysięgło się przeciw nam — nie zejść na bezdroża rezygnacji i nie poddawać się złym wpływom. Czy walkę naszą zakończymy za kilka tygodni czy za kilka miesięcy, czy nawet po latach — nikomu nie wolno rozgoryczać się do tego stopnia, aby dać się porwać fali ogólnego rozkładu i zaniku moralności. Nie chodzi w obecnym okresie o to, abyśmy trzymali się ściśle określonego terenu, ale o to, abyśmy zachowali wierność swoim szczytnym celom walki i byli gotowi, gdy zajdzie potrzeba do chwycenia za broń. Utrzymujcie łączność z dowódcami, a dowódcy z podwładnymi. Taki jest apel czasu".x)

Szybciej, szybciej ładować się do tego worka — żartobliwie poganiał Rokita.

Wskakiwali do wozu pojedyńczo. Śmiali się, żartowali. Albert znowu w masce na twarzy stał przy szoferce, czekając aż worek jego zapełni się i będzie go można „zawiązać". Rozpoznał młodzika o wypielęgnowanych wąsikach, który rewidował jego walizkę w drodze do R. Potem zobaczył architekta w angielskim frenczu z jedną gwiazdką na ramieniu.

— A ten co tu robi?

— To „Prokop", Szef naszego wywiadu. Znacie się przecież?

— O tak. Dlatego cieszę się, że jego zabieram.

Chciało mu się śmiać. Ten las i samochód, gajówka, ludzie w mundurach, Rokita i on sam, Albert — wszystko to wyglądało groteskowo.

Położył dłoń na ramieniu Rokity:

— Ten samochód to wasza „Arka Noego". Kraj zalał potop, poprowadzę was na wzburzonej fali ponad tonią głęboką. Zatrzymamy się na górze Ararat.

Oczy Rokity zwilgotniały. Wódka nie przestawała działać.

— Pięknie pan to powiedział, majorze. Widzi pan tego wysokiego kaprala? O, teraz właśnie pakuje się pod plandekę. Jest to nasz poeta. Rzymianie mówili, że tam, gdzie chrzęści broń, milczą Muzy. My jednak odstąpiliśmy od tej zasady. Nie mam czasu na czytanie wierszy. Ale przyszłe pokolenia znajdą dość czasu na poezję. Trzeba, żeby poeci oddali ducha naszych czasów, naszej walki. Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę, że nie wystarczy ponosić dla ojczyzny ofiary: drugą nie mniej ważną czynnością jest dowieść światu, że to są właśnie nasze ofiary. Nie wolno zmarnować ani jednej kropli krwi i potu: świat musi wiedzieć, że to była nasza krew i nasz pot.x)

Rokita stracił wątek myśli. Zamilkł. Jego milczenie sprawiło Albertowi niezmierną ulgę. Podszedł do motoru, podniósł maskę i sprawdził świece. Zaglądając do motoru poczuł na plecach ciepłe promienie słońca. Zadach oliwy mieszał się z żywicznym oddechem sosnowego lasu. „Do wieczora będzie po wszystkim" — pomyślał po raz trzeci.

x) autentyczne

d. c. n.

KONCERCIK RRRAZ!

(dłuższy wywód na oklepany temat)

Prawdziwie przewrotną satysfakcję będę miał — szczerze mówiąc — wówczas dopiero, kiedy to Kazimierz Dejmek przeniósłszy się, bądź przynajmniej na gościnne pół roku do Warszawy wyskoczywszy, zrealizuje dla tamtejszej telewizji mały, rozrywkowy koncercik... Okazuje się bowiem, że przemożna chętka zabawiania narodu (PT korektę proszę o nie poprawianie na „zbawiania", co zresztą równie miałoby swój sens, choć raczej nie w tym artykule) niczym złośliwa grypa atakuje coraz to nowych teatralnych reżyserów: po bezspornym majstrze, jakim jest Aleksander Bardini, spróbował swoich sił w tej materii Adam Hanuszkiewicz, dając nam dyskusyjne, choć mocno rozsławiane „Maskarady", ostatnio zaś pałeczkę przejął Zygmunt Hübner. Hübnera znamy ostatecznie jako byłego kierownika artystycznego jednego z najciekawszych podówczas teatrow w Polsce — Teatru „Wybrzeże" — jako realizatora spektakli tej klasy i miary co „Nosorożec" Ionesco, twórcę świadomego i niewątpliwie — przynajmniej w naszym polskim rozumieniu tego słowa — awangardowego; z kim jak z kim tedy, a z nim właśnie można się chyba pokłócić na ostre.

I rzecz nie w tym przecież, że zatytułowany „Jak to miło w wieczór bywa" koncercik z niedzieli 24 grudnia ub. r. był po prostu słabiutki, bo to dla nas sprawa zwyczajna, ale w tym, że był denerwujący.

Zacznijmy od jajka. Jak łatwo zauważyć, każdy program estradowo-rewiowy — zarówno w teatrze, jak w filmie czy telewizji — składa się z pewnej ilości „numerów", piosenek, tańców, monologów, skeczy, etc. etc., wiązadłem — chciałoby się wać i powiązać. Najprostszym które trzeba jakoś uporządkorzec: lepikiem — teatralnym, jest oczywiście konferansjerka, przeplatane dowcipami zapowiadanie poszczególnych punktów programu i ich wykonawców. Konferasjerkę można stosować również i w telewizji — przykładowo: Wiktorczyk i Rudzki w przeglądach nowych piosenek — chociaż statyczność samej zapowiedzi, brak kontaktu konferansjera z siedzącą przy swoich skrzyneczkach widownią, czyni tę formę cokolwiek wątpliwą.

A już film za nic nie zniósłby takiego gadającego faceta, stąd dla produkcji rewiowych począł od dawna szukać ramy w postaci jakiejkolwiek, możliwie błahej i mało istotnej fabułki — już plączący się za kulisami variette bohater, da nam sto i jedną możliwość naturalnego wprowadzenia przeróżnych występów i popisów.

Ludzie teatru zobaczywszy, że rzecz jest na swój sposób niegłupia, poczęli również mnożyć widowiska satyryczne z pretekstem: a to artysta X nawiedza wytwórnię filmową, a to jakiś bęcwał znajduje cudowną lampę Alladyna, a to Zeus schodzi na ziemię i poczyna się po niej kręcić (bywalcy teatralni łatwo odgadna, że piję do minionych i przyszłych programów Teatru 7,15). Rozbudowana rama, ów pretekst fabularny, poczęła się wszelako z biegiem czasu wydawać coraz to mniej konieczna — i oto widzimy programy, w których nie ma ani konferansjera, ani porządkującej akcji, numer zazębia się o numer, orkiewej wychodzi piosenkarz, piostra schodzi na lewo, a z prasenkarz kłania się widowni, a gdzieś z głębi wyskakuje duet taneczny. Ów szybki, dynamiczny montaż numerów, przeciwstawianych sobie zazwyczaj pod względem nastroju, podchwyciła również telewizja — znakomita większość jej programów estradowych zmontowana bywa na zasadzie cięć kamerowych, przenoszenia ujęcia z jednego wykonawcy na drugiego.

Tak mniej więcej wygląda stan faktyczny na chwilę bieżącą, zrozumiałe, że przedstawiony w jakimś skrajnym uproszczeniu. Warto jednak zwrócić uwagę na taki drobiazg: montaż montażem, a powinien on mieć jakąś wewnętrzną logikę, kolejność numerów, aczkolwiek nie uzasadniona zapowiedziami konferansjera, czy rozwojem akcji — nie może być ani dowolna, ani przypadkowa.

Nie jest rzeczą łatwą wywieść teorytycznie na czyim owa wewnętrzna logika winna się zasadzać i w ogóle jakimi prawami rządzi się estradowo-rewiowy program — znalezienie tedy podskórnego rytmu i porządkującej zasady byłoby jednym z kryteriów talentu reżysera...

I cóż się dzieje? Z głębokiego piekła banału wyłażą diabliki-schematiki, włażą reżyserowi na kolana i szepcą przymilnie do uszka: weź mnie, niech się raz jeszcze poszastam po scenie. To nic, że ty wiesz i ja wiem iż robiliśmy już programy z Alfą i Betą, z Iksem i Ygrekiem — przebierzesz mnie w nowe szatki, albo różki fosforem namaścisz i będę jak nowy, nikt się nie pozna, a widz najmniej... Tako szepce diabeł schematu, a czort najgorszy i największe odnoszący sukcesy zowie się „UROKIEM PRZEMIJAJĄCEGO CZASU", na co dzień zaś nosi imiona różnorodne, choć zawsze złożone, jak to: „Od walca do twista", „Od Franza Józefa do Franza Kafki", albo wręcz „Od babuni do wnuczuni", czy coś w tym guście...

Oto kolejna produkcja wspomnianego czorta a la Zygmunt Hübner:

W studio sadzamy kilka osób w różnym wieku, dodatkowo charakteryzowanych jeszcze kostiumem, a że jesteśmy zupełnie bezwstydni, aktorowi tej miary co Konstanty Pągowski, każemy stawiać pasjansiki i budować piramidkę z kart, przezornie bacząc, aby nie wyrzekł jednego słowa. Pierwszy chwyt, pierwsze ujęcie mamy kapitalne („nowe szatki diabła"). z czterech wyłożonych dam karcianych przebitka na cztery pary nóg tancerek w kankanie. Solista sprowadzony „do parteru" biegający na czworakach, przykucający, a wszystko dla wyeksponowania tego, co w kankanie koniec końców najpikantniejsze — siatkowych pończoch, podwiązek itd.

Kolejne przejście na bogu ducha winne towarzystwo w studio, dziadunia jużeśmy załatwili, dla babuni Andrzej Bogucki — zresztą znakomicie, tyle że lista komplementów zostaje w tym miejscu zamknięta — śpiewa piosnecz kę na temat „czy pani Marta jest grzechu warta?...", potem mamy coś z dwudziestolecia („Gdy zobaczysz ciotkę mą, to jej się kłaniaj...") i tak konsekwentnie posuwamy się ku wytęsknionej współczesności.

Jest i lambett-walk (z pięknym tekstem: „nowy taniec — nowy rytm — pan nie umie — a to wstyd...") wykonany z dość upiorną powagą, jest parę taneczków, wreszcie nadchodzi chwila upragniona: Sława Przybylska w spodniach w prążki, w swetrze i z gitarą śpiewa na tle abstrakcyjnej rzeźby w guście Moora. Ale żebyśmy przypadkiem nie pomyśleli, że dni nasze sprowadzają się do rzeźb Moora czy spodni w prążki, na finałowy deser dostajemy osławionego twista („zanim dadzą znak, wszyscy tańczą tak" — pozorna nielogiczność, choć nie wykluczone, że chodzi o znak inspicjenta na skończenie tej całej hecy) i już spokojnie możemy odczytywać z planszy długą listę realizatorów tego przeuroczego pasztetu. A więc reżyseria: Zygmunt Hübner, reżyseria telewizyjna: Barbara Borys, choreografia: Witold Gruca, scenariusz: Rudolf Gołębiowski i Jerzy Kleyny.

Pilny czytelnik i telewidz który nie tylko przeczytał cały wywód, ale i oglądał rzeczony orcgram, może w tym miejscu zapytać z przekąsem: no dobrze, rzecz nie była znakomita, ale czy jest zaraz o co tak się miotać?

Owszem, jest o co. Jeżeli ubożuchne PPIE., „Estrada" robi w siedem osób plus orkiestra składankowy program na objazd tego właśnie typu, (chodzi o „Zaproszenie do walca" z jakim łódzka „Estrada" niedawno wystartowała), to mimo wytartego schematu, możemy pozostać z uznaniem dla pomysłowych rozwiązań realizatorów. Jeżeli to samo robi telewizja warszawska, mająca do dyspozycji znakomitych aktorów, jakie takie pieniądze, wreszcie cały tłum warszawskich satyryków — zaczyna mnie zwyczajnie ponosić. Programów typu „Jak to miło w wieczór bywa" można wypichcić sto i tysiąc, można zatkać nimi wszystkie soboty, niedziele i święta kościelne, ale nie można ukryć faktu, że idzie się w nich na skrajną łatwiznę.

JERZY PANASEWICZ

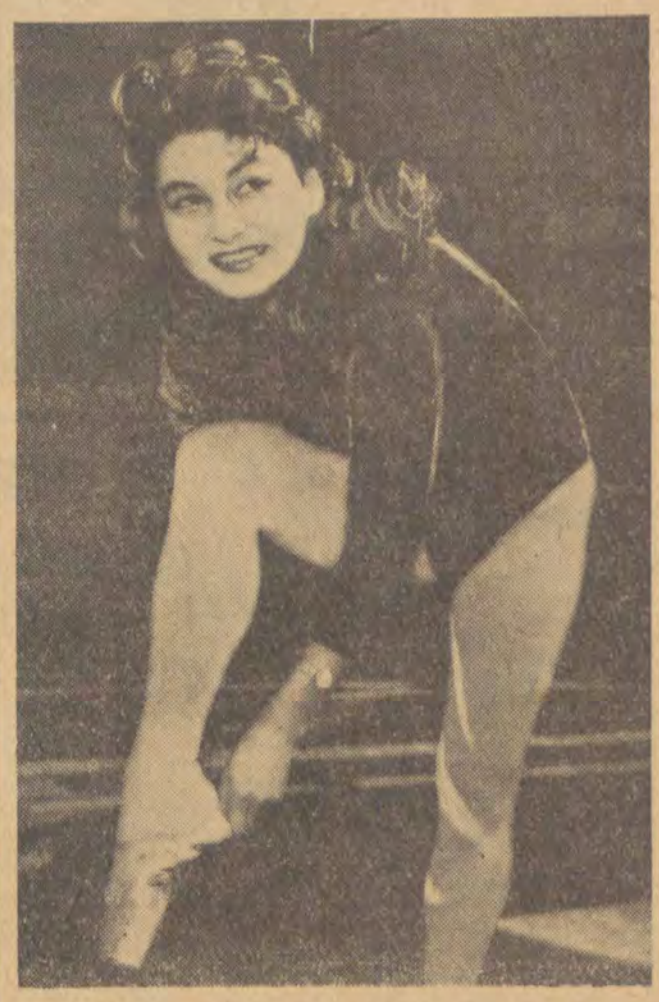

Zdjęcie naszej tancerki Marii Radmajeff zamieszczamy w ramach wspomnień świątecznych. Właśnie w okresie świąt miałem możność korzystać z usług telewizji katowickiej, która ma (tak samo jak „Odgłosy") hobby baletowe. A więc każda przerwa, mająca więcej jak 5 minut wypełniona była kawałkami filmów baletowych. Widzieliśmy m. in. świetne fragmenty „Jeziora łabędziego". W ten sposób nie było przerw w programie? Były. Jak wspominamy o tym niżej, znów ktoś w Katowicach wpadł na pomysł ukazywania na ekranie w czasie króciutenkich przerw akwarium z rybkami. Miłe — prawda? Choć w święta powinno się raczej pokazywać białe myszki...

Warto może poinformować naszych łódzkich telewidzów i o tym, że śląska TV nadaje programy do południa i np w święta potrafiła przez jedno przedpołudnie wyświetlić dwie serie filmu „Znak Zorro" oraz archiwalny film polski „Fredek uszczęśliwia świat". Potem program szedł z Warszawy. Kiedy zaś Katowicom wydało się że np. film „Szlachectwo zobowiązuje", który musiała oglądać cała Polska, jest mało ciekawy, wyświetlili sobie pierwszego i drugiego dnia świąt dwie serie francuskiego filmu „Casanova". Dozwolony od lat 16 film ten miał jedną cechę, która denerwowała niektórych widzów. Kiedy mianowicie uwodziciel Casanova zostawał ze swą kolejną bogdanka w niedwuznacznym sam na sam, zaczynał nagle śpiewać... Zaś wydane ostatnio przez „Czytelnika" pamiętniki Casanovy opisują te rzeczy dosadniej i jaśniej... Realizatorzy francuscy jeśliby np. chcieli zrealizować w przyszłości film wg „Dekamerona" musieliby zaangażować chóry gregoriańskie... tyle byłoby tam do śpiewania.

Kończąc parę luźnych uwag o programie śląskiej TV nie podobna pominąć milczeniem faktu, że tam w Katowicach potrafili wywalczyć sobie znaczna swobode w przygotowaniu programu i niezależność od gustów programowców warszawskich. Tego z Nowym Rokiem życzymy Telewizji Łódzkiej.

(m)

„GWIAZDKA Z GWIAZDAMI"

(także pamflet na Lucjana Kydhyńskiego)

Niełądnie nabijać się z czyjejś wady wymowy? Zapewne, a czy ładnie na zasadzie tejże wady wymowy i paru innych okoliczności kreować się na maharadżę polskich konferansjerów, bez którego ostatnio nie może się odbyć żadna posezonowa wyprzedaż zagranicznych gwiazd — api na estradzie, ani w radio, ani w telewizji?!

Bardzo lubiliśmy wszyscy Lucjana Kydryńskiego prowadzącego ze swoistym wdziękiem, a i znawstwem, radiowe pogaduszki muzyczne, zbiwszy jednak kapitał popularności przystąpił on do tak gwałtownej ekspansji artystycznej, że i świętego musiałaby koniec końców wyprowadzić z równowagi. „Kydryński tu, Kydryński tam", Kydryński zapowiada Marino Mariniego, Kydryński towarzyszy Ymie Sumac, Kydryński podbija bębenka sopockim półgwiazdkom, Kydryński prowadzi z Łodzi cykl koncertów telewizyjnych... Zna się, zapewne — ale na muzyce, nie konferansjerce. Dowcipy opowiada żadne, albo zgoła wulgarne (sprowokowany gotów jestem zacytować ostatni dowcip po piosence Sempolińskiego „Tomasz, ach Tomasz" (gescik z wyrzucaną rączką już się opatrzył, francusko-hrabiowskie „r" — osłuchało. A na owym „r", rączce, oraz anegdotach, które nie tak trudno chyba wyłowić z zagranicznej prasy, zasadza się cała niemal konferansjerska sztuka Kydryńskiego — sztuka, której osobiście mam już dosyć i która dość gruntownie popsuła i rozgłodziła ostatni koncert rozrywkowy, z jakim wystąpiła w święta łódzka telewizja.

Myślę, rzecz jasna, o „Gwiazdce z gwiazdami". Pomysł był dobry, lalki niekiedy znakomite, wykonanie od przynajmniej poprawnego grubo wzwyż. W oparciu o autentyczne nagrania słynnych solistów przygotowany został — jakby tu rzec — program parodystyczno-imitatorski (na co zresztą miał wpływ i charakter samych lalek — od „lalek-karykatur", po lalki-kopie"), niekiedy łagodnie wykpiwując wykonawcę, niekiedy zaś zupełnie serio idący za duchem utworu i interpretacji. No bo, wybaczcie, łeżąca na lamparciej skórze, leniwie przeciągająca się i leniwie ruszająca biodrami Eartha Kitt była — mimo martwej, drewnianej twarzy lalki — aż zaskakująco niepokojąca i zmysłowa; i o to chyba chodziło z resztą.

Ale już podrygująca, powłócząca nogami po ziemi marionetka Prisley'a, ale już znakomicie animowany Sempoliński, czy kapitalna para Amstrong — Fitzgerald, bardzo wyraźnie grawitowali w stronę parodii, w stronę — powtórzmy to — bezbolesnej kpiny.

Marlena Dietrich na beczce, półnaga Józefina Baker w imponującym, wielometrowym płaszczu, prześmiesznie pomyślany Gene Kelly chlapiący się lalkowymi nogami w najprawdziwszej, mokrej i bryzgającej na wsze strony wodzie — wszystko to były ładne, dowcipne i dające się zapamiętać pozycje programu.

Parę było słabszych — między innymi jakoś bez wdzięku „sprzedany" Chevalier, czy niefortunny plastycznie Wojnicki — w paru miejscach operatorzy, wykonawcy, a zwłaszcza konferansjer pogubili się w tym co mają robić i kogo zapowiadać (zamieszanie z twistem, niespodziewane wyciemnienie połowy widzi w ujęciu Kydryński — Bing Crosby i parę innych drobiazgów), parę dłużyzn dałoby się także odnotować.

Niemniej koncert był udany, mogę dać na to uczciwe słowo rozleniwionego natłokiem świątecznych atrakcyjek telewidza. Że jednak niepodpadał próbuję nieco szerzej wypowiedzieć się o koncertach rozrywkowych w ogóle, jedna bezinteresowna rada, z której i tak nikt nie skorzysta: przy najbliższej okazji, (może powtórzenie?!) miast jakiegokolwiek konferansjera spróbujmyż montować to samo z przerywnikami filmowymi i rzucanymi na ekran nazwiskami wykonawców. Będzie i dowcipniej i bardziej w duchu telewizji — jak sądzę...

JERZY PANASEWICZ

LOT — Gwiazdka z gwiazdami" koncert rozrywkowy nadany 26 grudnia ub. r. — scenariusz: Lidia Minticz i Jerzy Skarżyński — reżyseria: Janusz Rzeszewski — scenografia: Lidia Minticz i Jerzy Skarżyński — opracowanie muzyczne: Lucjan Kydryński. —

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 4. I. 1962 R.

17.15 Program dnia (L). 17.20 Program publicystyczny „20 lat temu" (L). 17.35 Reklama ogólnopolska (W). 17.40 „Hanka Sawicka" — program dla młodzieży (W). 18.10 PKF (W). 18.20 Recital fortepianowy Teresy Rutkowskiej (W). 18.55 Program z cyklu „O wsi dla wszystkich" (W). 19.30 Dziennik TV (W). 20.00 „Czarne Boże Narodzenie" — program artystyczno-publicystyczny (W). 20.30 „Święto wkracza do akcji" — film fab. produkcji francuskiej dozw. od lat 16 (W). 22.00 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 5. I. 1962 R.

16.45 Program dnia i lokalny program tygodnia (L). 17.00 Program tygodnia (W). 17.15 Spojrzenia i Opinie (L). 17.45 Chwila muzyki (L). 17.50 „Maszyny, paragraf i ludzie" (L. ogólnop.). 18.20 „Znak Zorro" — VI odcinek filmu prod. USA (W). 18.55 Wszechnica TV „Harvoy" — program z cyklu „Człowiek i jego dzieło" (Kraków). 19.30 Dziennik TV (W). 20.00 „Oko za oko" — film fab. produkcji francusko-włoskiej dozw. od lat 16 (W). 21.50 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 6. I. 1962 R.

13.55 Program dnia (L). 14.00 „Choinka dla dzieci" — transmisja z Pałacu Kremlowskiego w Moskwie (Moskwa). 16.00 Przerwa. 16.55 Program dnia (L). 18.00 „Zagubiona piłka" — film krótkometr. prod. NRD dla dzieci (W). 18.25 Program dla dzieci „Teatrzyk Tańca „Piruecik" — pt. „Tajemniczy stryszek" (W). 19.05 Porozmawiajmy (W). 19.30 Dziennik TV (W). 20.00 Pegaz (W). 20.30 „Kaganiec" — film fab. prod. NRF dozw. od lat 14 (W). 22.00 PKF (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W). 22.20 „Antyszopka" — reż. Konrad Swinarski (powtórzenie z dnia 31. XII. 1961 r.) (W).

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 344-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, kolportaż oraz RUCH — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW "Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 1701. XI A-4

Zaproponować nie wolno!?

PRECZ Z PLANSZĄ

(Wznawiając naszą starą rubryczkę uroczyście oświadczamy, że doskonale zdajemy sobie sprawę z pewnej, hm.... niegramatyczności nadtytułu, z drugiej strony jednak taż sama niegramatyczność pozwala nam na formułowanie pewnych propozycji w tonie żartobliwym i poniekąd filuternym).

Warszawa ma swój zegar, Katowice nie tylko zegar, ale nawet gustowne akwarium ze złotymi rybkami, które pływają sobie tam i z powrotem pod muzyczkę, a my nic, tylko planszę — gustowną zresztą — z kominiastym krajobrazem w tle. Czy nie można by tej planszy czymś zastąpić? Czymś pożytecznym, choć równie jak plansza nieobowiązującym.

Ot na przykład w poniedziałki pokazujemy na ekranach numery telefonów. Pogotowia, milicji, straży pożarnej, telewizji i innych takich ciekawszych instytucji — tak długo, aż wbrew woli widza wbiją mu się w głowę. We wtorki — nieskomplikowane, a tak pożyteczne, sformułowania z zakresu geometrii: „prosta jest najkrótszą linią łączącą dwa punkty" czy jak to tam brzmi. We środy — dane z zakresu gospodarki. Wytapiamy obecnie tyle a tyle ton stali, wydobywamy tyle a tyle ton węgla. W czwartki — dajemy na to — repertuar teatrów do niedzieli włącznie.

I tak dalej, aż do upojenia, w najrozmaitszych wariantach. Bo plansza trochę się opatrzyła, przerwy jak były, tak są, a zawsze warto czegoś się wolnym czasem dowiedzieć...

ODGŁOSY tygodnia

KAŻDY PRZECHODZIEŃ i PASAŻER...

Zupełnie w stylu kroniki wypadków, tzn. drobnym maczkiem na niewidocznych miejscach, prasa codzienna podała kilka dni temu wiadomość o czymś, co powinno było stać się raczej przedmiotem krzyczących tytułów, czołowych artykułów i sążnistych komentarzy. Mamy na myśli wprowadzone w naszym kraju z dniem 1 stycznia 1962 r. obowiązkowe ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej i następstw nieszczęśliwych wypadków, zachodzących w ruchu pojazdów mechanicznych (samochodowych).

Dlaczego sprawa wydaje nam się godna większej uwagi? Po pierwsze dlatego, że tego rodzaju ubezpieczenie nie ma precedensu w świecie. Można powiedzieć, że nie mamy jeszcze przodującej motoryzacji, a już dorobiliśmy się najbardziej postępowej i przodującej formy ochrony społeczeństwa przed złymi skutkami motoryzacji. Po drugie, stopień uprzywilejowania społeczeństwa ustalony zarządzeniem Rady Ministrów w tej sprawie jest tak ogromny, że jego treść powinna dotrzeć do każdego obywatela i poprawić jego samopoczucie, pogarszające się na widok coraz to większej chmary „dwóch" i „czterech kółek". Każdy przechodzień i pasażer wychodząc na ulicę lub udając się w podróż pojazdem zmotoryzowanym powinien mieć świadomość, że w razie gdyby uległ po drodze nieszczęśliwemu wypadkowi, los jego nie będzie sprawą prywatną, lecz publiczną tak jak publiczne są drogi, po których się porusza. Z chwilą bowiem gdy stanie się ofiarą wypadku, PZU z urzędu pospieszy mu z pomocą materialną, biorąc na siebie urzędowo wszelkie zachody o takie lub inne zadośćuczynienie krzywdzie. Po trzecie wreszcie, tym wszystkim, którzy w ciągu bieżącego miesiąca otrzymają od PZU wezwanie do uiszczenia składki ubezpieczeniowej należy się wyjaśnienie, iż nie jest to jakiś represyjny zamach na ich kieszeń, jakiś nowy „podatek", lecz celowy wydatek, leżący jak najbardziej w ich własnym interesie.

Wypunktowawszy społeczne dobrodziejstwo omawianego ubezpieczenia i nie powtarzając za gazetami taryfy składek tudzież odszkodowań podkreślamy na zakończenie, że sprawa ma wielkie znaczenie dla ludności wiejskiej, nie posiadającej ubezpieczeń społecznych. PZU bowiem zobowiązany jest nie tylko do świadczenia mieszkańcom miast i wsi ulegającym wypadkom drogowym jednorazowych odszkodowań lecz i do pokrywania kosztów leczenia, jednorazowego nabycia protez, a nawet w razie inwalidztwa kosztów zawodowego przekwalifikowywania poszkodowanych.

Oczywiście obowiązkowe ubezpieczenia od o.c. i n.w. to co innego niż tak zwane autocasco, które funkcjonować będzie na dotychczasowych zasadach.

ZŁOTE JAJA

Przemysł naszego miasta przypomina kurę, która znosi złote jaja, albo mówiąc mniej metaforycznie — rokrocznie dostarcza krajowi coraz więcej dolarów, funtów i rubli. Wartość produkcji eksportowej wynosiła w roku 1960 — 1,5 miliarda złotych dewizowych, rok bieżący zamkniemy sumą około 3 miliardów. Ładny kawałek grosza, prawda?

Nasze możliwości są jednak znacznie większe, wystarczy tylko przyjrzeć się strukturze eksportu i jego kierunkom geograficznym. 82 proc. dewiz przynosi nam przemysł włókienniczy, metalowy tylko 6,7 proc. chemiczny 4,7 proc, a drobna wytwórczość zaledwie 5,1 proc. A więc poza włóknem reszta wytwórczości wlecze się na szarym końcu, tymczasem dziś już każdy licealista wie, że najbardziej opłaca się eksport wyrobów przemysłu metalowego, chemicznego i drobnej wytwórczości.

Laik sądzi zapewne, że jeśli chodzi o bawełnę najlepiej rozpychać się na rynkach afrykańskich, czy azjatyckich, a w każdym razie eksportować do krajów gospodarczo zacofanych. Laik bardzo się myli. Jeśli chodzi o dewizy — najcenniejsze są kraje zachodnie wysoko rozwinięte. Tam się trzeba usadowić na dobre. No, a sprawa wygląda, jak dotąd, kiepsko. Do krajów Europy zachodniej, Australii, Kanady i USA poszło w roku 1961 zaledwie 17 proc. łódzkiego eksportu wyrobów bawełnianych. Specjaliści twierdzą, że ichni, kapitalistyczny rynek jest chłonny. Nasz przemysł może w roku 1962 podnieść eksport o dobre kilka procent jeżeli:

- Wezmą się do handlu metalowcy i chemicy
- Centrala Handlu Zagranicznego „CETEBE" lepiej pozna potrzeby różnych rynków — przemysł łódzki zostanie szybko unowocześniony,
- przemysł przestanie wyłócać się z centralą i odwrotnie, że to, tamto i owo, a zaczną harmonijnie dopasowywać swoje plany.

W PRODUKCJI — URODA

Uroda potrzebna i w produkcji — zdecydowano. A więc w produkcji musi być uroda... I jest.

Jako pierwszy w Polsce powstał na terenie zakładów bawełnianych im. Obrońców Warszawy w Łodzi, zakładowy gabinet kosmetyczny. Wydarzyło się to 8 marca 1961 roku. Od tego czasu rzecz stała się popularna. Przyjeżdżali i z filmu i z telewizji, filmowali i opisywali ten „uroczy ewenement". To Liga Kobiet reprezentująca interesy — bagatelka — 2000 kobiet, uparła się i dopięła swego.

Tuż przed pracą, albo po pracy we wtorki i czwartki, chętne poprawienia urody ciągną tłumnie do gabinetu „na czwartaka" (gabinet mieści się na czwartym piętrze, ale od nowego roku ma się przenieść na parter). Aby nie tracić czasu można przedtem uzgodnić godzinę przyjścia.

Upiększanie jest wielokierunkowe. Można się wymasować (twarz i ręce — gładkie ręce b. potrzebne w produkcji), zrobić maseczkę, naświetlić soluxem czy kwarcówką, uczesać, oczyścić skórę, zrobić pedicure i manicure. Dwie kosmetyczki, fryzjerka, manikurzystka obsługują panie, które za chwilę zaczną lub przed chwilą skończyły — produkować...

Wszystkie wymienione wyżej przyjemności kosztują prawie 50 proc. taniej niż w gabinetach państwowych.

Do kosmetyczno-fabrycznego jedynaka doszlusował w tym tygodniu gabinet zorganizowany w zakładach włókien sztucznych na Widzewie. Prezent noworoczny — jak się patrzy!

Gabinet ma charakter nie tylko upiększający ale i leczniczy. Prócz zabiegów dla urody, zabiegi dla zdrowia np. likwidacja częstych przy pracy „w chemii" podrażnień skóry. Na zlecenie lekarza zabiegi te będą wykonywane bezpłatnie. Z własnej woli 50 proc. taniej niż w gabinetach państwowych. Korzystać zeń będą więc nie tylko kobiety, ale i mężczyźni — cała 2500 załoga. W niedalekiej przyszłości planowany manicure i pedicure...

Inicjatywa zorganizowania takiej placówki wyszła z rady zakładowej.

I w jednym i w drugim zakładzie nie było łatwo zdobyć „środków na urodę". Ale wtajemniczeni, powiedzieli nam jak to się robi:

WEŹ — trochę inicjatywy, trochę „systemu gospodarczego", **DODAJ** perswazji i dużo dobrej woli — **wyjdzie** gabinet. Trochę **poczekaj** — **wyjdą** ładne kobiety.

Tę ostatnią uwagę dedykujemy wpływowym męskim czynnikom innych zakładów.

KOGO TO OBCHODZI?

Zdarza się, (choć rzadko) że malarze otrzymują oferty wystawiania swych prac za granicą. Oczywiście nie trzeba nikogo przekonywać, że zagraniczna wystawa ma olbrzymie znaczenie nie tylko dla samego twórcy, ale i dla propagandy polskiej sztuki w ogóle.

Ostatnio jeden z młodych łódzkich malarzy, absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych otrzymał propozycję wystawy w pewnej londyńskiej galerii. Jak zatem wygląda sama organizacja takiej zagranicznej ekspozycji?

Otóż obok innych wielce skomplikowanych zabiegów artysta musi: uzyskać zaświadczenie że prace jego nie przedstawiają wartości dla kultury polskiej, oraz... zobowiązać się, że obrazy wrócą do kraju.

Że zarówno jedna jak i druga konieczność nie ma większego sensu? Że razem wzięte stanowią nonsens do kwadratu? A kogo to obchodzi?

Widocznie polska sztuka jest tak szeroko znana za granicą, że możemy sobie pozwolić na te przysłowiowe kłody pod nogami artystów. Chociaż osobiście pozwalamy sobie mieć odmienne zdanie w tej sprawie.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot: A Kobyliński

KRZYŻACY ZWRACAJĄ...

Jak się dowiadujemy „ze źródeł dobrze poinformowanych film „Krzyżacy" zarobił już na siebie siedmiokrotnie — tzn. wpływy z jego eksploatacji siedmiokrotnie przewyższają koszty związane z jego realizacją. A koszty te jak pamiętamy były niemałe (bodajże przeszło 30 milionów złotych). Sceptycy twierdzili nawet, że się nigdy nie zamortyzują.

Historia jest sprawiedliwa. Krzyżacy nas grabili „Krzyżacy" zwracają...

W proporcji strat do zysków (historycznie rzecz ujmując) te ostatnie stanowią pewnie przysłowiową symboliczną złotówkę, ale dobre i to.

Inne „krzyżackie" sprawki:

SZWEDZI — najbardziej zachwycali się prezycją w przedstawieniu kultury życia codziennego. Można się z filmu nauczyć — pisali recenzenci — jak się w tych czasach jadło, piło, kłaniało, spało itp. (Konsultantem od tych spraw była pani Malaczyńska, pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego).

ROSJANIE — jak przewidują specjaliści i historycy zdziwią się chyba najbardziej (film wchodzi właśnie na ekrany) nowym ujęciem sylwetki Jagiełły. Znają go bowiem jako rozmodlonego, płaczliwego, słabosilnego i mało męskiego — tak jak przedstawiał króla np. Długosz i częściowo Sienkiewicz.

STUDENCI — w miarę rozpowszechniania filmu rozpowszechniają przydomek — „profesor Grunwald" dla... prof. dr Stefana M. Kuczyńskiego z Uniwersytetu Łódzkiego. Był on głównym konsultantem „Krzyżaków".

BĘDZIEMY ŻYWIĆ SIĘ... CIASTKAMI

Do wszystkiego można się przyzwyczaić — nawet do łódzkiego pieczywa. Ale ludzie, którzy chleb już z niejednego pieca jedli, przypominają sobie niekiedy, że nie wszędzie na świecie ów chleb powszedni jest jałowy, kwaśny, gliniasty. Bardziej energiczni składają wówczas reklamacje w sklepach, żalą się na spotkaniach z radnymi, alarmują gazety.

Zła jakość łódzkiego pieczywa nie jest dla nikogo tajemnicą. Gdy wydane zostało zarządzenie o przyjmowaniu od klientów zwrotów niedobrego pieczywa, jedna z instytucji handlowych zamierzała urządzić punkty zajmujące się tą sprawą w... składach opałowych. Liczono widać na całe tony niejadalnego chleba.

Przyczyną tego wszystkiego jest m. in. brak w Łodzi dobrych fachowców — piekarzy. I nic nie wskazuje na to, by sytuacja miała się zmienić na lepsze. Młodzież unika zawodu piekarza, który — jak ongiś mówiono — ma spółkę z diabłem, bo nocą głównie pracuje. Np. w jednej z naszych szkół piekarniczych na 160 wstępujących zaledwie 4 chłopców wyraziło chęć uczenia się zawodu piekarza. Reszta wybrała cukiernictwo. Cóż, będziemy żywić się ciastkami...

MATEMATYKA i SKLEPY

Na dziewiarstwie ludzie psy wieszają. Bo rzeczywiście, trzeba mieć końskie zdrowie, żeby znaleźć potrzebną rzecz. Tu rozmiar nieodpowiedni, tam kolor nie pasuje, gdzie indziej w ogóle nie ma szukanego artykułu. A przecież ponad 200 mln sztuk wyrobów dziewiarsko-pończoszniczych wypuszczają fabryki co roku na rynek. Dlaczego więc tak jest?

To samo pytanie zadali członkowie komisji sejmowej kierownictwu Zjednoczenia Przemysłu Dziewiarskiego. Dyrektor Zjednoczenia przedstawił wówczas następujący rachunek: w sklepie klient powinien znaleźć co najmniej 50 różnych artykułów — każdy w 4 rozmiarach i 6 — chociaż — kolorach. Dla zapewnienia ciągłości sprzedaży sklep musi mieć 45-dniowy zapas. Jak wynika z dalszych, skomplikowanych nieco obliczeń, w każdym sklepie powinno być naraz 180 tys. sztuk wyrobów dziewiarskich.

Ponieważ w naszych ciupkach-sklepiczkach ilość towarów nie przekracza chyba 1.800 sztuk — zaopatrzenie ich jest dziesięciokrotnie gorsze, niż być powinno.

Łódź doczekała się wreszcie jakiego takiego domu obuwia, może kiedyś uda się również zgromadzić w jednym miejscu trochę większy wybór artykułów dziewiarskich. Choćby ze względu na oszczędność... zelówek.